

W numerze: LUCJUSZ WŁÓDKOWSKI **Życiorysy** • JÓZEF DUTKIEWICZ **Kariera Jerzego Pompidou**  
 • J. MACH **Autoportret Orsona Wellesa** • EUGENIUSZ IWANICKI **Lot** • **Towar czy sztuka?**  
 • **Magia opery** • **Nowela**

# odgłosy



10. V. 1970 r.  
19 (651)  
Cena 1.50 zł

TYGÓDNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. W. Parys

## Dzień który znaczy POKOJ

Dla jednych jest to tylko data historyczna, o której piszą podręczniki i uczą w szkołach. Dla innych 9 maja 1945 roku, dzień podpisania przez feldmarszałków Hitlera, wobec przedstawicieli Związku Radzieckiego, aktu bezwarunkowej kapitulacji jest przede wszystkim ważną, może najważniejszą datą w ich życiu. Datą, która oznaczała koniec grozy, niepewności, nieszczęścia i tułaczki i dawała pewność, że dach, pod którym się mieszka nie runie.

Zwróciliśmy się do kilku osób z prośbą, aby podzieliły się z Czytelnikami swoimi wspomnieniami o pierwszym dniu pokoju.

STEFANIA DYMKOWSKA —  
emerytowana nauczycielka

W czasie okupacji robiłam to, co rozpoczęłam jeszcze w latach zaborów. Uczylam. Oczywiście w obydwu wypadkach tajnie. Kiedy od stycznia 1940 roku zamknięto w Łodzi szkoły, musiałam opuścić swoje mieszkanie i przenieść się na Wschodnią 50. Nowe locum składało się z siedmiu pokoi i miało aż cztery wejścia, przez co idealnie nadawało się na miejsce tajnych spotkań. Zaczęłam od wykładania programu szkoły średniej dla 6 uczniów. Uczylam nie tylko w swoim domu. Drugi komplet miałam na Sikawie, to była grupa około 30 dzieci. Trzecie miejsce nauczania to dom przy ulicy Małej na Radogoszczu. Byłam z młodzieżą, kiedy przyszło wyzwolenie Łodzi, a potem kapitulacja Niemiec. Trudno nawet opisać, jak ogromna była radość. Z wielkim zapalem zaczęto organizować życie

Dalszy ciąg na str. 5

RYSZARD MUZIKA

## Frontowy notatnik zwiadowcy

Kapitan Ryszard Muzika, oficer II Armii WP jako dowódca plutonu zwiadowczego przeszedł cały szlak bojowy swojej jednostki. Na postojach, w czasie przerwy w boju, notował na gorąco, w pośpiechu, zdarzenia, wypadki, sytuacje i własne odczucia. Jego notatki po 25 latach mają walor dokumentu historycznego. Są autentycznym, oddającym atmosferę wojny. Styl i forma były dla autora drugorzędne. Publikujemy dziś nigdzie nie

drukowane fragmenty tych notatek, z całym pietyzmem dla oryginału. Ryszard Muzika jest obecnie kierownikiem szkoły podstawowej w Klonowcu, pow. kutnowski.

24. 12. 1944. Wieczorem jesteśmy przy wspólnej wigilii naszego plutonu. Chłopcy ogoleni, umyjni, stanęli za stołem. Zaden nie przekroczył dwudziestu lat. Wziąłem opiatek. To pierwszy po pięciu latach z wolnym żołnierzem w polskim mundurze. Zaproponowałem pójść z opłatem do d-cy, majora Gawrikowa. Chciałem, by znał nasz zwyczaj. Nie wiedział co z tą „bumagą” zrobić, wyjaśniłem mu po rosyjsku. Przybył do nas na wieczór, lecz zaczął od wódki. Rozdzielił na

wszystkie szklanki i wypił z każdym po kolei.

STYCZEŃ 1945. Ruszamy z naszych Lipniak. Po drodze zatrzymujemy się w lasach koło miejscowości Szezechły. Ziemianki wykopane służą nam za mieszkania. Duży piec, zrobiony z beczki na benzynę, kopci na środku. Szaleje wichura, dmie śnieżycą na sosisie Mińsk Mazowiecki — Warszawa. Samochody nasze idą za hukiem dział.

Oto Warszawa. Przeprowadzamy się przez prowizoryczny most pontonowy. Wjeżdżamy w grób Warszawy. Dymiące zgliszcza w głębi zabudowań. Drużyny saperów usuwają gruz. Nosze coraz to wynoszą zmasakrowane ciała. Jedziemy Dobrą, Tamką, koło Kopernika na rumowisko Nowego Świata.

Dalszy ciąg na str. 3





## Nieujarzmiony

„FINANCIAL TIMES” — LONDYN

„My, niżej podpisani, działający w imieniu Niemieckiego Naczelnego Dowództwa wyrażamy zgodę na bezwarunkową kapitulację wszystkich naszych sił zbrojnych...”. Takimi słowami rozpoczął się akt kapitulacji III Rzeszy, podpisany w Berlinie 8 maja 1945 roku, po 2077 dniach najstraszliwszej z wojen. Koronował on wielki wysiłek militarny państw koalicji antyhitlerowskiej kładł kres bezmiarowi ludzkiego cierpienia, zadanego z premedytacją i okrutnym wyrachowaniem przez hitlerowskiego okupanta.

Dla narodu polskiego, który od pierwszego aż po ostatni dzień wojny nie złożył broni, zwycięstwo oznaczało także powrót do macierzy Ziemi Zachodnich i Północnych, przesunięcie zachodniej granicy Polski na bezpieczną linię Odry i Nysy. Dokonał się akt dziejowej sprawiedliwości, z wszystkimi jego historycznymi następstwami.

9 i 10 maja odbędą się we Wrocławiu centralne uroczystości, poświęcone wydarzeniom sprzed 25 lat, które ustaliły kontury nowej politycznej mapy Europy — z Polską w jej nowych granicach, złączoną nowymi sojuszami, prowadzącą nową politykę. Polska, która od dnia swego odrodzenia nie szczędzi sił, aby jej wkład w ustanowienie europejskiego bezpieczeństwa i pokojowe go ładu był jak największy.

W mijające ćwierćwiecze od zakończenia II wojny światowej jest miejsce na uwagę, że z jej okropności nie wszyscy wyciągnęli właściwe wnioski. Nie wytrzebił w NRF chęci odwetu i rewizji powojennej mapy Europy, o czym marzą różne siłki, aktywne przeciwstawiające się polityce realizmu i potwierdzenia istniejących granic. Nie powstrzymano eskalacji zbrojeń, narzuconej światu przez imperializm amerykański. Nie wyeliminowano wojny i agresji, czego biegłych przykładów dostarczają rejony bliskowchodni i południowoazjatycki.

Właśnie tuż przed historyczną rocznicą odnotować musimy nowe fakty, które nie służą pokojowi w świecie. Choć mają one miejsce daleko od naszych granic — uzasadnienie przecież niepokoją.

W środę ub. tygodnia rzecznik Pentagonu wydał oficjalnie do wiadomości, że Stany Zjednoczone wezmą bezpośredni udział w interwencji militarnej w Kambodży. Będą one udzielane — jak oświadczył — wsparcia lotniczego oddziałom wojsk sajsjońskich, które przekraczają granicę Kambodży oraz skierują tam grupy „doradców”.

W czwartek prez. Nixon za pośrednictwem kamer telewizyjnych poinformował o podjęciu zmasowanej inwazji w Kambodży z udziałem tysięcy amerykańskich żołnierzy. Tak więc otwarto został trzeci front agresji w Indochinach.

Oficjalnie decyzje prezydenta uzasadnia się „ochroną życia żołnierzy amerykańskich”, potrzebą zniszczenia „osrodków zaopatrzeniowych przeciwnika”. W istocie chodzi o wsparcie reżimu Lon Nola, którego w walce z przeciwnikami spotkało wiele niepowodzeń.

W momencie kambodżańskiego przewrotu oficjalni przedstawiciele Stanów Zjednoczonych mówili, że jest to „absolutnie wewnętrzna sprawa”. W sześć tygodni później militarnie potwierdzono poparcie USA dla sił prawicy w Kambodży, włączając się tysiącami żołnierzy w tę „absolutnie wewnętrzną sprawę”.

Źródła amerykańskie mówią o rzekomo ograniczonych celach inwazji — opanowaniu części terytorium Kambodży i zniszczeniu określonych punktów. Ma to być podobno „akcja obronna”. Nonsens takiej „argumentacji” jest oczywisty. Ma my bowiem do czynienia z otwartą agresją.

Mechanizm wypełniania Stanów Zjednoczonych w wojnę poznaliśmy dokładnie na przykładzie Wietnamu. Zaangażowanie USA wzrastało tam z dnia na dzień, aż stała się ta wojna w pełni amerykańską. Narastający przeciwko niej opór zmusił Nixona, ubiegającego się o fotel prezydencki, do złożenia wyborcom obietnicy, że wojnę zlikwiduje i doprowadzi do pokoju w Wietnamie. Teraz tenże sam Nixon wprowadza Stany Zjednoczone w nowy konflikt.

Agresja USA w Kambodży wywołała ogromne zaniepokojenie i oburzenie. Odezwali się również bliscy sojusznicy Stanów Zjednoczonych, przestrzegając przed implikacjami. Decyzję Nixona skrytykowali w ostrych słowach liczni politycy amerykańscy. Z poparciem natomiast pośpieszył... Johnson. Chyba nie był satysfakcją, że jego następcą tak wiernie go naśladuje...

Prez. Nixon mówi chętnie o „wietnamizacji” wojny. Nawet ogłaszając swą ostatnią decyzję uzasadniał ją przyspieszeniem programu „wietnamizacji”. Jest to pouczająca lekcja, co przez to słowo rozumie prezydent Stanów Zjednoczonych. Okazuje się, że „wietnamizacja” wymaga nie tylko dobrostwa armii sajsjońskiej i „podniesienia jej morale”. Wymaga także militarnego wkroczenia do Kambodży, aby wesprzeć Lon Nola i „neutralizować” na amerykański sposób przez 15 lat neutralną Kambodżę. W 25 rocznicę zakończenia II wojny światowej światowej w oświety to wkład Stanów Zjednoczonych w dzieło pokoju.

W. ŚLAWSKI

## Chłopca czy dziewczynkę?

„STERN” — HAMBURG

Jedni rodzice chcą mieć chłopca, inni znów czekają na dziewczynkę. Chemia najbliższej przyszłości zaoferuje rodzicom możliwość wyboru płci dziecka, dzięki odkryciu uczonych z Instytutu im. Maxa Plancka w Hanowerze. Na razie prowadzi się doświadczenia na zwierzętach.

A oto przebieg eksperymentu: spermę umieszcza się w probówkach, a następnie do każdej z nich wlewa się ściśle dozowaną ilość określonych kwasów. W zależności od charakteru kwasu stają się słabsze albo „męskie” komórki, albo „żeńskie”. Teraz może już nastąpić sztuczne zapłodnienie. A oto co mówi o tym doktor Erich Schilling, który kieruje tymi eksperymentami w Instytucie im. M. Plancka: „Sam nie wiedzieliśmy, czy taka rzecz jest możliwa. Dopiero w wyniku doświadczeń udało się nam otworzyć drogę do decydowania o płci noworodka”.

Ludzie już od dawna próbowali odgadnąć płeć dziecka, kiedy znajdowało się ono jeszcze w łonie matki. Starożytni Grecy sądzili, iż jest ona zależna od aktualnego układu gwiazd. Rzymianie — że wszystko zależy od mężczyzny: „Jeśli główną rolę w rodzinie odgrywa mąż — powiadali — to jasne, że urodzi się syn”. Wielu uczonych starożytności wyrażało poglądy, iż na płeć dziecka wywierają wpływ fazy Księżyca, odżywianie rodziców, wzrost i stan zdrowia ojca. Pierwszym człowiekiem, który odkrył biologiczną istotę tego zjawiska był Hipokrates.

Tylko dzięki zdobyciom współczesnej nauki udało się rozwiązać ten wielce skomplikowany problem i poznać procesy kształtowania się płci. Drogę do tego sukcesu poprzedziło inne ważne wydarzenie naukowe: odkrycie dwóch postaci plemników. Pierwsza zawiera geny żeńskie, tzw. X chromosomy, druga geny męskie, tzw. Y — chromosomy. Która z tych dwóch komórek zapłodni jajo — jest dziełem przypadku.

Odkrycie to zapoczątkowało badania zmierzające do określenia płci noworodka. W praktyce okazało się to zadaniem wcale nieprostym. Pod mikroskopem plemniki męskie i żeńskie wyglądają zupełnie jednakowo. Mimo to uczeni podjęli niezwykle i wydawałoby się cięższe od męskich. Jednakże nie było to istotne dla dalszych badań.

Na takim to niepewnym fundamencie opierały się początkowe badania, prowadzone w Instytucie im. M. Plancka. Jednakże już następne odkrycia stworzy-

ły realne możliwości wprowadzenia innych, bardziej efektywnych metod badań naukowych.

400 milionów komórek w jednej porcji plemników. Z tego 200 milionów „żeńskich” i 200 milionów „męskich”. W jaki sposób oddzielić jedno od drugich szybko i dokładnie? Po wielu próbach dr Schilling znalazł wreszcie rozwiązanie, gdy wprowadził do eksperymentów kwasy organiczne. Wykrył on niebawem kilka rodzajów kwasów, posiadających poszukiwane właściwości: osłabia nie aktywności tylko jednego rodzaju komórek.

Odczynniki, które uważa Schilling za najlepsze do tego celu można otrzymywać w dowolnej ilości. Jego zdaniem, zwyczajny kwas jabłkowy, cytrynowy, czy askorbinowy osłabiają „męskie” plemniki. Natomiast niewielkie ilości kwasu solnego wpływają w taki sam sposób na plemniki „żeńskie”. Pięknie, ale jak dozwolone kwas i jak długo powinna trwać reakcja, aby uzyskać zamierzone efekty? Doktor Schilling twierdzi, że to nie jest już dla niego tajemnicą...

W bremeńskim Instytucie naukowo-badawczym stworzono pierwszy w Europie „bank spermy”. Zbiera się ją i przechowuje w temperaturze minus 196 stopni. Ten płyn nasienny może być użyty przez lekarzy w dowolnym czasie do sztucznego zapłodnienia. Dr Schilling nie zdecydował się dotychczas na współpracę z „bankiem”, bowiem nie dowierza jeszcze swojej metodzie filtrowania. „Być może — mówi on — iż sperma ludzka nie posiada takiego „ładunku” dziedziczności, jak zwierzęca”. Trudno na razie wykluczyć ewentualność uszkodzenia plemników i wydania na świat niepełnowartościowego potomstwa.

Jednakże chemiczne metody odkryte przez Schillinga wykluczają taką możliwość. Kwasy bowiem „odróżniają” komórki nasienne nie według ich wielkości, lecz według ich przynależności do rodzaju „męskiego” lub „żeńskiego”. Praktycznie rzecz ujmując — mówi Schilling — moglibyśmy już dawno dokonać zapłodnienia człowieka z określeniem płci dziecka. Nawet 10—20 procentowo, więc minimalne, prawdopodobieństwo popełnienia błędów przy ustalaniu płci dziecka nie odstrasza przyszłych rodziców.

Według zgodnej opinii lekarzy i socjologów eksperymenty Schillinga wywrą niemały wpływ na dalszy rozwój tej dziedziny nauki. Ale w związku z tym wielu ludzi ogarnia niepokój. Obawiają się oni, iż swoboda wyboru płci dziecka spowoduje zmniejszenie liczby narodzin dziewczynek.

(choć grają siłowo, nie po dżentelmeńsku) i nasi niepotrzebnie wdawali się z przeciwnikami w dryblingi, które z reguły przegrywali. Poza tym nasi grali za wolno i grę zanadto rozciągali. Poza tym... nie wytrzymali psychicznie nadmiaru odpowiedzialności i nadziei, jakimi obarczyła ich olbrzymia rzesza kibiców w kraju.

No cóż, przegraliśmy. A zdawało się, że szczęście jest tak blisko.

Moje uszanowanie, Panie Redaktorze. Zdegustowany kibic, niegdys także piłkarz.

ANTONI BIEGAS

## Wokół celibatu

„AVANTI” — MEDIOLAN

Zaiste zdarza się po raz pierwszy w historii kościoła, żeby konflikt między państwem a masami zwykłych księży coraz bardziej przetrząsał się w otwartą wojnę.

Sporo zaczęło się od prześlawnego celibatu, zabraniającego — jak wiadomo — wstępowania księżom w związki małżeńskie. Z roku na rok rośnie liczba wypadków, kiedy to księża zrzucają sutanny, żeby się móc ożenić. Wśród młodych ludzi jest coraz mniej chętnych pragnących poświęcić się służbie duszpasterskiej. Kościół traci kadry. Watykan jednak z uporem trzyma się swego.

Holenderscy księża pierwszy otwarcie wystąpili przeciw swemu duchownemu przywódcy. Na wielkim soborze księża niemal jedno-

głośnie (zaledwie dwa głosy przeciw) podjęto rezolucję, domagającą się zniesienia celibatu. Jest charakterystyczne, że nawet obecni na nim biskupi nie wstrzymali się od głosu, jak można było przypuszczać, i gorąco podtrzymali żądania księży. Było to już niemal wyzwaniem rzuconym papieżowi.

Generalny sekretarz holenderskiego soboru księży, Walter Godian, z racji tego konfliktu złożył następujące oświadczenie:

— „Przez czterysta lat nie odważyliśmy się nawet o tym wspomnieć. Od czasu drugiej wojny światowej ilość przeciwników celibatu bardzo wzrosła. Ich liczba zwiększała się z każdym rokiem. Konflikt nieustannie narastał i oto teraz wybuchł”...

### W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ♦ O pracy łódzkiego oddziału PWN — rozmowa z dyrektorem Jerzym Górczakiem
- ♦ WŁADYSŁAW BORTNOWSKI — o wielkim przyjacielu Polaków
- ♦ JERZY WILMAŃSKI — o „mowie — trawie”
- ♦ Ponadto felietony, recenzje, nowela kryminalna.



Pisz ten list po meczu Górnik Zabrze — Manchester City, rozegranym w Wiedniu z wiadomym rezultatem. Nasi przegrali, co było (mówiąc nawiasem) do przewidzenia. Ale nie chodzi o to. Mecz, na który tak wszyscy

czekali, który spowodował, że odbierały go 23 stacje telewizyjne w wielu krajach Europy, a w Polsce w tym czasie zamarło życie miast, otóż mecz ten był po prostu brzydkim widowiskiem. Nie było w nim polotu. Nie było tego, co tak po dziwiłaliśmy w dwu meczach Górnik z Romą: ładnych, płynnych akcji. W tym wypadku piłka szła nazbyt często poza boisko, akcje rwały się, zawodziły kombinacje w polu i pod bramką. Tylko w niewielkim stopniu przeskoczył do dobrej grze deszcz. Przeciwnie w pierwszej części przed deszczem mecz był również brzydki i nie stał na pięk-

nym, godnym podziwu, poziomie.

A teraz parę słów o wyniku. Otóż obydwie bramki za winia nasza obrona, która źle kryła, była dość dziurawa, a w paru przypadkach po prostu się zagapiła. Nie można w żadnym razie winić te dwie bramki Huberta Kostki. Lubański (który, moim zdaniem, jest graczem reklamowanym przez prasę) nie miał dobrego dnia. Skła dał się do strzału jak scyzoryk i nic z tego nie wychodziło. Na dobrą sprawę nie pozostał on ani razu piłki do angielskiego bramkarza.

Zespół angielski jest zespołem lepszym technicznie



Żołnierze płaczą. Ogarnia nas złość, gorzycz, smutek i nienawiść.

Brak benzyny zatrzymuje nas pod Sochaczewem w majątku Trojanów. Tu odbyła się krótka lecz zażarta walka. Przy drodze leżą trupy.

Udaję się z oficerem na wyszukanie izb. Obok dworku plebania i kościółek. Wchodzę tam. Może dadzą nam jakąś izbę cieplejszą. Niechętnie, z rezerwą i obawą przyjmują. Patrzają na nas jak na bezbożników. Bolszewicy! Przychodzi akurat niedziela. Rano, do pełnego kościoła wprowadzam miarowym krokiem oddział. Stanęliśmy murem na środku. „Boże coś Polskę...” — wstrząsnęło kościołem. „Nie rzucim ziemi...” — kończymy mszę. Płacz i łkanie opanowało obecną ludność na nabożeństwie. Ksiądz zaprosił nas na wspólny obiad. Ludność i młodzież przyszli z orkiestrą i wieczorem odbyły się tańce. Odjechalśmy żegnani łzami. Skracamy przez Łowicz na Łódź do Brzezina. Tam dostaję miejsce postoju w Helenowie. Niemcy prawie z całej wioski uciekli. Tu niedługo kwatrujemy. Przerzucają nas na Pomorze niemieckie. Ludność polska wita nas ze łzami w oczach. Wkrótce stamtąd jedziemy pod Wrocław. Tu napotkałem grupy wracające z robót. Opowiadają okropne rzeczy. Miniemy wkrótce granicę Rzeszy.

25. 3. 1945. W dniu dzisiejszym porucznik Swir, szef sztabu otrzymał stopień kapitana. Młody, 23 lata. Odbyła się z tej okazji huczna libacja. Potem poszedłem na swoją kwatere. Zaczęła się dyskusja z gospodarzami jaka będzie nazwa Polski. Mile i szybko płynęły chwile, gdzie otwierały się nasze serca i ugadniały poglądy, harmonizujące się pod hasłem Polska Ludowa.

16. 4. 1945. Nad Nysą. Drgnęła nasza ziemianka. Bogorodz zwrócił się do Weliny podając „alarm”. Zakotłowało się. Wyskoczyłem z ziemianki. Dygotała ziemia. Bogorodz meldował: „Pierwsze świsnęły katusze, tu ot, gdzieś z tyłu”.

— To chyba natarcie?  
— Tak, to ofensywa — powiadam. — Zaczynamy niedługo. Huragan się wzmógł. Ze wszystkich stron lasu waliły baterie, słychać komendy. Przed nami rosła potężna chmura brązowego kurzu z błyskiem pękających pocisków.

Pod brzegiem Nysy naprzeciw Rottenburga wre praca i szaleje ogień. Saperzy rzucają potężne kłody na dygocące pontony. Most rośnie w sekundach. Obok padają pociski i broczą krwią leżą koledzy. Jesteśmy pod Horche. Godzina 15, notować nie mogę. Idę do sztabu, major Gawrikow wzywa. Znowu zadanie. Może nie skończy już nigdy. (Dalej ołówkiem — K. B.).

Za mną jedzie Doroszeńko, to dzielny chłopak. Zleźliśmy z roweru, bo fryce nas zauważyli i przycięli z ckm. Tylko za daleko brali.

Pędzimy szosą. W lewo widać Nysę, w prawo las i pola. Na rozwidleniu stoi spokojnie generał Swierczewski w otoczeniu kilku oficerów. Dojeżdżam do grupy. Podpułkownik Kowalewski podnosi rękę. Stałem. „Słuchaj, Muzika, uważaj, oto wzdłuż tej drogi (tu wskazał ręką) idą Niemcy. Rozumiesz? Ruszaj przez las. Poniał!”

— Poniał — towarzyszu pułkowniku. W lesie pędzi na motocyklu „Kola”, kapitan. Och, jak serdecznie ścisłamy się. Dzieli nas czas od grudnia. U wylotu placu zatrzymuje się. Z prawej strony szosy wali jakaś bateria. Przed nami dymią domy Nysy. Pierwsze ulice oczyszczone. Między domami mieści się sztab Związku. Gawrikow zajmuje dom i woła mnie: „Ty chronisz zrab! Tak! Okopać się, rozdać granaty, noc idzie.

Modest dostaje wylot drogi do tyłu. Garbacik prawą stroną domu. Od miasta zajmuje stanowisko Klücki. „Dobrać swoich ludzi, okopać się, granatami wkręcić zapalniki. Po trzy na jedno”.

W nocy kilka razy próbują fryce siły. Świt budzi nowym rozmachem walki. W lewo i w prawo leżą świeże trupy zbroczone krwią. Są Niemcy i nasi, dymią wnętrza spalonych czołgów.  
— Ruszamy dalej. Muszę uważać, jadę pierwszy.

25. 4. 1945. Słońce dopada zachodu. Na rozwidleniu drogi zajmuję pozycję. W dole rzeka. Płomień trawi miasto. Szybko okopujemy się. Samoloty zawarczały w powietrzu. Spada seria bomb, podnosi się kurz i dym. Są zabici i ranni.

Kopiemy w pośpiechu rowy. Kapitan Dogrebów kieruje obroną z lewa, ja mam środek obok sztabu. Dalej Dobrulini ze swoimi ludźmi.

Noc przechodzi cicho. Trochę bili z armat Niemcy, ale niecelnie. Rano ruszamy połą drogą przez wieś ku lasom. Tam w leśniczówce sztab. Piją wódkę, jedzą. Jest źle. Okrzyli nas. Do ochrony sprzętu ja ze swoim plutonem. Kopiemy znowu dołki wśród drzew. Welina i Bogorodz na obserwację, ładujemy karabiny, ustawiamy granaty na okopie. Nie strzelać chłopcy beładnie. Nie mamy nabożów.

RYSZARD MUZIKA

Frontowy notatnik zwiadowcy

Przed nami wre walka jakiegoś oddziału piechoty. Pyskają pociski i rwą się artyleryjskie wybuchy. Dym niesie się z mgłą i wilgocią. Koło południa ruszamy. Szosa szeroka, z prawej strony dogorywają samochody z bombardowanej kolumny amunicyjnej. Trupy walają się w ziemi wilgotnej od krwi. Pała się domy i część lasu. Pod lasem zajeżdżają katusze obwiązane pociskami.

Wyznaczono pozycje. Rozmawiam z młodym dowódcą gwardianem. Jego katusze już mają tylko jedną porcję nabożów. Brak amunicji. Ja też już mam ostatki.  
— Ot, popadliśmy, co? — mówię.  
— Nu, co? Tak bywa na wojnie — odpowiada spokojnie gwardian.

26. 4. 1945. Dojeżdżamy na rowerach do zagajnika, wioska pod lasem. Udajemy się tam, aby zdobyć lepsze rowery. Dochodzę do wrót, aż tu trzech Niemców, uzbrojonych. Oni również zaskoczeni. Byliśmy szybsi, poddaliśmy się. Rewiduję ich kieszenie, ten jeden powiada, że ma kolegów na ulicy. Natychmiast wyskoczyłem z żołnierzem na ulicę. Stało ich pięciu. Oficera zabiliśmy, podaliśmy się. Nie szukam niczego w ich kieszeniach, gdyż jest ich może w lesie jeszcze więcej. Daję komendę: po dwu naprzód! Biegiem! Dostarczyliśmy ich do sztabu majora Gawrikowa.

27. 4. 1945. Udali się do tej wioski Popow i Wilga. Popowa raniona, a Wilgę przywieźli koledzy wieczorem. Kilka kul strzelonych z tyłu w głowę.  
Nie mogę kończyć, natychmiast do rowów. Fryce idą.

28. 4. 1945. Brak dotychczas piechoty, musimy ją sami zastępować, wchodząc do wykopanych dołków. Żołnierz szkolony inaczej nie umie walczyć z okopów. Nie przyzwyczajony do walki z czołgiem i piechuram niemieckim. Mamy i tak duże osiągnięcia. Wymykamy się z zupełnych okrążeń, często w gwałtownych walkach. Obecnie jesteśmy w lesie. Na godzinę 14.15 mamy być gotowi do odparcia walki wręcz lub napadu. Pobieram dla ludzi amunicję i granaty. Co nas czeka nie wiemy.

29. 4. 1945. Straciliśmy kolegę szofera, Edwarda Muchę. Siedział naprawiając część samochodu. Wtem nadleciały samoloty. Dmuchało ciepłe powietrze po naszych twarzach i ogłuszający huk zakłócał zagajnikiem.

— Panie poruczniku — Mucha i Białowąs zabici — rozległo się wołanie. Byliśmy pod miejscowością Holnau. Bronimy tej wioski.

Na drewnianym krzyżku z tabliczką wisi szara, kwadratowa czapka Edwarda Muchy. On już spokojny. 23 lata zamknął w sobie i zabrał nikomu nie mówiąc. Dziś otrzymałem list od jego siostry. Pi-

wprost niemota padła na linię frontu. Co się stało? — pytają żołnierze. Krąży wśród żołnierzy echem rozniesione wiadomości, że dano Niemcom czterdzieści osiem godzin zawieszenia broni na poddanie się. Nikt jednak w sztabie tego nie potwierdza.

3. 5. 1945. Jestem dziś szczególnie zdernerwowany. W naszych gazetach nie piszą kto z polskiej strony bierze udział na konferencji w San Francisco. Prawdopodobnie z naszej strony nie ma przedstawiciela. Jest mi zbyt ciężko, by zanotować cokolwiek.

4. 5. 1945. Spokojnie dotychczas na pozycji. Za zdjęcie jakie zrobiłem porucznikowi otrzymałem trochę wódki i likieru. Ciężkie dni zmagania w okrążeniu dały dużo emocji, toteż wódka stała się jedyną nagrodą za to, że nie padliśmy jak wielu naszych kolegów.

Pluton pracuje normalnie.

4-5. 5. 1945. Z lasu wyjechałszy do miasteczka Koenigwarte. Następuje przegrupowanie sił. Wywiad pracuje w całej pełni. Za trzy dni nastąpi generalne uderzenie. Położymy niemiecką bestię osta-



Autor notatnika (w środku) ze swoim plutonem zwiadowców

sze: „Edziu daliśmy na mszę do Matki Boskiej, aby Cię nam zdrowego wróciła”. I dalej: „Edziu, boję się o Ciebie, bo śniło mi się, że kładłam kwiaty dla Ciebie na złotym piasku”.

30. 4. 1945. Koło południa uciechła bitwa. Dowódca wzywa nas i każe zająć las o pięć kilometrów w tył. Siadamy na masywnych drzewach. Budujemy rowy. Lotnicy npla krążą. Zauważyli nas. Bomby trafiły w zapas benzyny. Znowu ośmiu zabitych, dwóch rannych.

U wylotu lasu stoi mój kapral Aleksy Garbacik z Zasinowa. Tam padły bomby. Nie wrócił. Sanitariusze zabrali go ranego. Pozostał zielony płaszcz zlaną krwią i poszarpany w kawalki na wysokości kolan. Jest mi ten żołnierz szczególnie bliski, sam go namówiłem do naszego wojska, znam jego rodziców i znam młodą, przystojną żonę.

1. 5. 1945. W nocy alarm, chwytamy karabiny i zajmujemy okopy w naszym rejonie. Strzały przed nami z karabinów i automatów. Zapewne grupa niemiecka wdarła się, albo pomyłka, piorą swoich. Wysyłam zwiada, naturalnie, Niemcy odwieźli nas. Położyliśmy czterech trupem i kobietę, która ich prowadziła. Kładziemy się spać, lecz postanowiliśmy czuwać.

Przyszła poczta. Dla mnie nie było listu. Co się dzieje z moją córeczką Grażynką?

2. 5. 1945. Śnieg leci dużymi płatami. Cisza jakiej nigdy nie było. Zamknięty dział — jak zaczarowana jakaś głucha

tecnie. Są jednak optymiści, którzy twierdzą, że do uderzenia nie dojdzie, Niemcy wyważają i poddadzą się prędzej.

Kończą się działania wojenne, co będzie dalej?

Nie wiemy. Mają prawdopodobnie przeńść nas do kraju. Pragnę tego powrotu, dom mój chyba odszukam.

16.30. Nie mogłem dokończyć. Od strony lasu padły strzały. Świsł pocisków nad nami. Przylgnęliśmy do ziemi. Na skraju lasu — fryce. Podali mi rusznicę p. czołgów. Oddałem kilka strzałów w kepe, z której strzelali. Chłopcy otworzyli ogień z pepez i karabinów. Teraz piją kawę, bo zmrok i cicho, tylko za lasem coś się pali, luna rośnie.

6. 5. 1945. Szykujemy polowanie na fryców. Wiadomości głoszą, że Berlin padł. Grupy wojsk kapitulują. Na razie względny spokój. Skok odbędzie się wkrótce. To czuć z atmosfery naszego sztabu. Dziś jest mi jaśniej na duszy. Wczoraj wieczorem otrzymałem dwa listy — jeden od żony, drugi od córki. Zyją, a to dla mnie dużo.

7. 5. 1945. Artyleria niemiecka bije. Nasi strzelają z rzadka. Stacje podsłuchowe pracują, robią namiary dla wykrycia środków ogniowych...

9. 5. 1945. Wojna skończona — Niemcy przegrały i skapitulowały. Jesteśmy w pięknej wiosce saksońskiej Loebdorf. Przy szliśmy w te strony w pogoni za dywizjami, które tak dużo zadały nam strat.

Opr. KAROL BADZIAK



z książkami  
PROZA POETY

Jerzy Zagórski, znany poeta i tłumacz, głównie poezji rosyjskiej (Puszkińska i Lermontowa), wydał w Ossolineum książkę prozy. Nie jest to jednak powieść i nie są to nowelle. „Tam gdzie diabeł pisze listy” to zbiór reportaży i szkiców z licznych podróży, które autor od-

był po wojnie. Mamy więc wrażenia z Grecji, z Rosji Radzieckiej, z Węgier, z Jugosławii a także z Gruzji i Armenii. Choć reportaż to i szkice pisane były w różnych latach, zebrane w tomie nie utraciły nic ze swej świeżości.

Jerzy Zagórski pisze zajmująco i lekko, jego ciekawość ludzi i świata sprawia, że umie obserwować i podawać swoje obserwacje w sposób godny uwagi. Szkice te z reguły podbudowane są wiedzą historyczną, mamy więc w nich do czynienia nie tylko z opisami spraw i wydarzeń aktualnych, ale także z pryncypialną filozoficzną, wynikającą z posiadanej erudycji i skłon-

ność do porównań. W swoim czasie Jerzy Zagórski ogłosił tom reportaży „Indie w środku Europy” (o powojennych Niemczech). Już wówczas dało się zauważyć, że jest to dobre pióro prozatorskie. Wydany obecnie tom potwierdza w pełni tamtą, wcześniejszą opinię. Byłoby dobrze, gdyby udało się namówić Jerzego Zagórskiego do pisania pamiętników. Dawny wileński żagarysta, były dyplomata, tłumacz i poeta, a wreszcie znawca teatru miałby z pewnością wiele do powiedzenia o dawnych i niedawnych latach. Jestem pewien, że pamiętniki Jerzego Zagórskiego byłyby lekturą ciekawą pod względem

znawczym i literacko atrakcyjną.

\*) Jerzy Zagórski: „Tam gdzie diabeł pisze listy”, Ossolineum 1970, str. 297.

CZARUJĄCA KSIĄZKA

Na książkę tę nie można nie zwrócić uwagi. Wyšla ona spod pióra powieściopisarza i krytyka teatralnego, długoletniego mieszkańca Krakowa. Krakowiowi też, jego życiu i kulturze poświęcone są te wspomnienia. Tadeusz Kudliński napisał książkę czarującą. W powodzi pamiętników i wspomnień, których tak wiele ukazuje się co roku, zostanie ona z pewnością zauważona przez czytelników, a zapewne i przez krytykę.

Podtytuł wspomnień Tadeusza Kudlińskiego brzmi „Pamiętnik krakowianina z okresu międzywojnia”. Ale autor cofa się także w lata sprzed pierwszej wojny światowej, kiedy egzystowała jeszcze nieboszcza monarchia austro-węgierska, a Kraków, tak umiłowany przez autora, przynależał do obszaru Galicji. Cenne w pamiętniku Kudlińskiego jest to, że swoje osobiste przygody rzucił na szerokie tło wydarzeń ogólniejszych. Nie mamy więc do czynienia z pamiętnikiem egotysty zapatrzonego we własny pepek, lecz z relacjami pisarza o świecie, życiu i o innych ludziach. Kudliński znał ich dużo. Pisarzy, malarzy,

aktorów, dziennikarzy, polityków i działaczy. W dziewiętnastu rozdziałach swojej barwnej książki autor roztoczył przed nami życie społeczne, kulturalne i artystyczne Krakowa wskrzesił postaci zapomniane i postawił w nowym, często nieznanym świetle ludzi znanych, którzy na trwałe zapisał się w historii kultury Krakowa i w ogóle kraju. Napisane są te wspomnienia piękną polszczyzną, roi się w nich od ciekawych szczegółów i faktów, a liczne ilustracje w tekście dodają powabu całości.

\*) Tadeusz Kudliński: „Młodości mej stolica”, Pax 1970, str. 506.



PRASA WARSZAWSKA PISZE O NIM: „NAJWYBITNIEJSZY POLSKI BAS MŁODSZEJ GENERACJI”. PAMIĘTAMY GO Z WIELU ZNAKOMITYCH KREACJI NA ŁÓDZKIEJ SCENIE OPEROWEJ; WIELE Z NICH MOŻNA BY OKREŚLIĆ MIANEM SUKCESU. PRZY POMNIJMY WIĘC: KAPŁAN NILAKANTHA W „LAKME”, LEPORELLO W „DON JUANIE”, NIEZAPOMNIANY KOŃCZAK W „KNIĄZIU IGORZE”, SPARAFUCILE W „RIGOLETTO”, REWELACYJNY DON BASILIO W „CYRULIKU SEWILSKIM”, HEROD W „TRAGEDYJI”, OBECNIE ZAŚ — MEFIŚTO W „FAUSCIE”, Z KTÓRYM OBJECHAŁ NIEMAL PÓŁ ŚWIATA.

SPIEWAŁ W NRD, NRF, BELGII, HOLANDII, ZSRR, CZECHOSŁOWACJI, JUGOSŁAWII, NA WĘGRZECH, W BUŁGARII, STANACH ZJEDNOCZONYCH, WE WŁOSZECH... — W SUMIE W 16 KRAJACH. MA W SWOIM REPERTUARZE AŻ 24 PARTIE OPEROWE. W JEDNEJ Z NICH WYSTĄPIŁ PRZED DWOMA LATY U BOKU SŁYNEJ RENATY TEBALDI, KREUJĄC POSTAĆ STROMMINGERA — JEJ SCENICZNEGO OJCA — W OPERZE CATALANIEGO „LA VALLY”. PAMIĘTNY TEN SPEKTAKL ODBYŁ SIĘ W SŁYNEJ CARNEGIE HALL.



Fot. H. Smigacz

# Magia opery

Z ANDRZEJEM SACIUKIEM rozmawiamy tuż po jego kolejnej wizycie artystycznej w Ameryce.

— W jakich operach występował Pan najczęściej za granicą?

— Poza „Faustem” także: „Don Carlos”, „Turandot”, „Rigoletto”, „La Vally” oraz „Halka” i „Straszny dwór”.

— Jak zagranica przyjmuje polskie opery?

— Bardzo podoba się „Halka”. Jest szeroko znana i wystawiana częściej niż się nam to w kraju wydaje. Poznałem świetnego reżysera amerykańskiego, włoskiego pochodzenia, Toni Stivanello, który wielokrotnie realizował „Halke” w Ameryce. Znany śpiewak, Ladislav Kiepura mówił mi, że wiele razy i w wielu miastach występował w naszej narodowej operze. Natomiast „Straszny dwór” jest na ogół źle przyjmowany. Jeden z jugosłowiańskich recenzentów napisał kiedyś, że jest to „dziesiąta woda po Mozarcie...”, pozbawiona twórczej inwencji; opera o mało czytelnej, błahej intrydze. Natomiast „Tragedyja, albo rzecz o Janie i Herodzie” — nasza współczesna opera, którą łódzki Teatr Wielki prezentował niedawno w NRD, wzbudziła duże zainteresowanie i otrzymała świetne recenzje.

— Ranga społeczna solisty operowego zmieniła się na przestrzeni ostatnich dzie-

sięcioleci. Minęły już te czasy, kiedy rozentuzjowany tłum wyprzegł konie z karet wielkich śpiewaków...

— Minęły, ale nie zupełnie. Pamiętam jak podczas przedstawienia „Lucji z Lamermooru” ktoś z publiczności rozpoznał w jednej z łóż słynną Marię Meneghini-Callas. Był to przypadek, ponieważ licząc około czterech tysięcy miejsc sala była pogrążona niemal zupełnie w ciemnościach. Natychmiast wszyscy zerwali się z miejsc i — przerywając przedstawienie — zgotowali wielkiej śpiewaczce siedmominutową owację. Kiedyś, po występie Renaty Tebaldi, z tłumem, który ją otoczył, wyrwał się nagle osiemnastoletni chłopiec i przypadłszy do jej kolan, krzyknął: „Regina del mondo!”

Wydaje mi się jednak, że Polska pod tym względem zajmuje zdecydowanie ostatnie miejsce w świecie. A przecież tak niedaleko, w Związku Radzieckim, artyści są przedmiotem niemal kultu. W naszym łódzkim teatrze operowym, który zaliczam do najpiękniejszych i najdoskonalszych wśród tych, w których występowałem, zabroniono artystom wychodzenia przed kurtynę po skończonym spektaklu, choć na całym świecie należy to do obowiązującego rytuału, jest niejako częścią przedstawienia. Publiczność tego pragnie. Na tym polega między innymi magia teatru. Dotyczy to również zwyczaju podawania kwiatów na scenę...

— Czym, Pana zdaniem, można wyfluencyzować to nieustające powodzenie teatru operowego?

— Może tym, że w dzisiejszym śpieszącym się i pełnym hałasu świecie, opera przynosi emocje, pochodzące głównie z innych epok. Jest to dla odbiorcy jakaś ucieczka w świat fantazji, do czasów zgoła innych niż dzisiejsze — pełne napięć i konfliktów.

Abstrahując nawet od wzruszeń jakie daje kontakt z „żywą” muzyką, opera jest na pewno najbardziej integralną, najbogatszą formą sztuki, jednoczącą w zasadzie wszystkie jej gatunki: muzykę, dramat, plastykę, balet. Wydaje się, że działanie takim środkiem wyrazu, jakim jest muzyka, uzupełnia i wzbogaca doznania widza. Jednakże opera zła jest czymś, czego nie da się „strawić”.

Utworzenie przy łódzkiej szkole muzycznej wydziału wokalnno-aktorskiego jest eksperymentem godnym najwyższej pochwały. Ja, na przykład, nie ukończyłem studiów w żadnej szkole muzycznej. Mam jedynie... honorowy dyplom Akademii Książęcej w Sienie — jeden z trzech dyplomów przyznanych przez tę Akademię wokalistom na przestrzeni dwudziestu kilku lat jej istnienia. Bardzo jestem z tego dumny, ale dyplom ten nie zastąpi mi wszechstronnego wykształcenia muzycznego.

— Spektakl operowy jest dziełem kolektywnym zarówno jako zjawisko artystyczne, integrujące różne dziedziny sztuki, jak również jako rezultat pracy zespołu ludzi. Jakże jest, Pana zdaniem, miejsce solistów, tych wybitnych indywidualności artystycznych, których nazwiskami wypełnione są karty historii teatru muzycznego? Jaka jest ich rola w tym dziele? W Polsce jeszcze i dziś tu i ówdzie mówi się, że należy skończyć z gwiazdorstwem...

— Uważam, że teatr jest przedziwną instytucją, która służąc w naszym kraju ustrojowi socjalistycznemu, nie może opierać się na równości. Musi w nim być miejsce dla ludzi prowadzących, tych, którzy już niejednokrotnie sprawdzili się pod względem artystycznym. W teatrze operowym należy dążyć do tego, aby każdemu przedstawieniu zapewnić maksymalnie wysoki poziom wykonawczy. Uważam jednak, że każdy spektakl na przeciętnym, ale równym poziomie, jest mimo wszystko lepszy od takiego, w którym tylko jedna osoba kunstem wokalnym i aktorskim „odskakuje” w górę od reszty zespołu. Tak wypukłona różnica jeszcze bardziej depręjonuje i tak już niskie kwalifikacje artystyczne pozostałych wykonawców.

Teatr służący socjalizmowi winien mieć strukturę organizacyjną, odznaczającą się surową i bezwzględną selekcją, która stałaby się motorem silnej, zdrowej konkurencji artystycznej i zawodowej na scenie. Tymczasem u nas obowiązuje etat, trzeba wykonać normę przedstawień, zrobić plan i stąd potem tyle pomyłek obsadowych.

— Istnieje jednak pewien społeczny problem ludzi, którzy są zatrudnieni w zespołach operowych, a nie dorastają do wysokiego poziomu pozostałych członków kolektywu.

— Robi się im wielką krzywdę, obsadzając w rolach, których jeszcze nie powinni śpiewać, albo których... już nie powinni śpiewać.

— Jest Pan często zapraszany do teatrów operowych za granicą, działających w oparciu o solistów zapraszanych z innych krajów. Nasz teatr jakoś nieczęsto

gości wybitnych solistów z innych miast lub z zagranicy. A przecież warunki, w jakich pracuje, upoważniają go do częstszego zapraszania wybitnych gwiazd światowej sceny operowej?

— Mam list pewnego kolegi, który był w Polsce, skierowany do przyjaciela, który w Polsce nie był. Pisz on: „byłem w Polsce. Tam nie ma teatrów — tam są pałace!”. Wbrew bowiem panującym u nas mitom, warunki pracy artystów za granicą, w krajach zachodnich, są czasem więcej niż trudne. Opera w Miami na przykład ma salę prób, mieszczącą się w... wydzielonej części hali montażowej jachtów. Po żelaznych, zasmarowanych schodach wchodzi do pomieszczenia o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych najwięksi współpracownicy śpiewacy i nie „kręcą nosem”, nie narzekają, jeśli na dodatek nawalił aparat dźwiękowa.

— Czymu należy przypisać fakt, że tak rzadko sprowadza się na nasze sceny operowe wybitnych śpiewaków zagranicznych, podczas gdy często zaprasza się znakomitych instrumentalistów lub nawet całe zespoły orkiestrowe?

— Zupełnie nie rozumiem tej niechęci. Przecież od tych wielkich artystów można się wiele nauczyć, a poza tym ich występy znakomicie podnoszą rangę teatru operowego. Spiewałem kiedyś za granicą „Fausta”, którym dyrygował świetny, 27-letni dyrektor Opery w Marsylii — Giovaninetti. Nie był jeszcze w Polsce, więc chciał do nas przyjechać i to za złotówki, aby przygotować jakąś francuską pozycję operową. Ponieważ w Łodzi mówiło się już o wystawieniu „Fausta” — poinformowałem nasz teatr o tej niezwykłej, jak się zdaje, okazji. Bariera przepisów administracyjnych była jednak zbyt trudna do przebycia. Nawiasem mówiąc, Giovaninetti wkrótce potem odniósł sukces w Nowym Jorku, otrzymał wysokie honorarium i teraz już do Polski za złotówki nie przyjedzie.

Po otrzymaniu zaproszenia do Ameryki, gdzie miałem śpiewać partię Filipa II w „Don Carlosie”, poprosiłem dyrektora jednego z naszych teatrów operowych, który akurat wystawiał tę operę, aby bez zwrotu kosztów pozwolił mi u siebie śpiewać tę partię w obcym języku. Niestety, w żaden sposób nie udało się nam uzgodnić terminów. Inny dyrektor na tę samą propozycję w ogóle nie odpowiedział. A przecież w teatrach radzieckich czy czeskich wymiana solistów między teatrami operowymi jest powszechna i stosowana od dawna. Zastanawiam się na przykład, która z naszych oper dysponuje pełną obsadą „Aidy”? Chyba tylko warszawska. Czy nie byłoby słusniejsze w przypadku przygotowywania takiego dzieła do angażowanie wybitnego solisty do roli, w której od lat odnosi sukcesy, niż „dopasowywanie” do partii kogoś „mizernego” z własnego teatru, tylko dlatego, żeby mógł wyrobić normę przedstawień?

— Pański największy sukces, największa artystyczna satysfakcja?

— Sukces? Bo ja wiem. Może jeszcze kiedyś będę miał sukces. Na razie czekam. To jest takie niezatrzymywanie się w miejscu... A satysfakcja? Najwięcej dostarczyły mi ich audycje szkolne w 1960 roku, kiedy przed wspaniałe reagujały dziesiątki śpiewałem po rosyjsku fragmenty „Borysa Godunowa”. No i koncerty z... moimi dziećmi: dwójką pianistów i altowiolistą. Inna rzecz, że wtedy ojcu trudno śpiewać. Coś dusi za gardło.

Rozmawiała:  
ANNA IŻYKOWSKA

## JÓZEF DUTKIEWICZ

# Kariera Jerzego Pompidou

Obecny prezydent Republiki Francuskiej doczekał się już dwu biografii — M. Brombergera wydanej w r. 1965 i P. Ronaneta wydanej w r. 1969. Na ich podstawie można skreślić drogę jego do władzy.

Jerzy Pompidou urodził się 5 lipca 1911 w miejscowości Montbondit w Auverni w departamencie Cantal. Dziad jego był rolnikiem, ojciec nauczycielem licealnym. Po maturze zdał konkurs egzamin do paryskiej „Wyższej Szkoły Normalnej”, jest to zakład zamknięty przy Sorbonie dla stypendystów, posiadający tradycje dostarczania Francji uczonych i mędzów stanu. Młody Pompidou miał uzdolnienia literackie, równoległe do studiów humanistycznych złożył jednak egzamin w szkole nauk politycznych. Posadę nauczyciela objął w Marsylii. Przygotował do druku dla celów szkolnych antologię poezji francuskiej, wybór pism Talna, wybró pism Malraux i studium o Bri tanikusie. Gdy w r. 1968 jego stanowisko jako premiera było zachwiane na pytanie dziennikarzy co będzie robił, gdy rząd upadnie, odpowiedział: „będę pisał”. Jakos do tego nie došlo.

W ruchu oporu Pompidou nie brał czynnego udziału, mimo to znalazł się w ekipie gen. de Gaulle'a w r. 1947. W tym czasie Guy Mollet zwró-

cił uwagę na szybką zdolność orientacji i pracę jego memoriałów. Po ustąpieniu gen. de Gaulle'a Pompidou pozostał w radzie stanu, był też referentem od spraw turystyki. W r. 1954 złożył rezygnację i przyjął zatrudnienie w banku Rothschilda. Był tam krótko na podrzędnym stanowisku, a wkrótce został jednym z dyrektorów generalnych. Ten po był w wielkim banku dał mu dobre rozeznanie w sprawach gospodarczych i finansowych. Utrzymywał jednak stałe kontakty z różnymi literatami a z drugiej strony z osamotnionym w Colombey gen. de Gaulle'em.

Rok 1958, ściślej maj tego roku, otwiera przed Pompidou nowy etap jego kariery. De Gaulle obejmując stanowisko premiera powołuje Pompidou na swego szefa gabinetu. Bio grafowie podkreślają, że zakres czynności nowego szefa gabinetu premiera był znacznie obszerniejszy i ważniejszy niżby to wynikało z formalnych uprawnień. De Gaulle skupiał wokół swej osoby współpracowników, którym ufał więcej niż członkom gabinetu. W stworzonej

przez de Gaulle'a nowej partii „Unii nowej Republiki” Pompidou zajął po czesne miejsce, mimo, że poprzednio w Zjednoczeniu ludu francuskiego (Rassemblement du peuple français) nie brał aktywnego udziału. W gorących dniach 1961 r. Pompidou był aktywny w montowaniu oddziałów obrony cywilnej a potem w organizowaniu plebiscytu w sprawie Algierii. Te oddane usługi spowodowały, że de Gaulle powołał go 14 kwietnia 1962 na stanowisko premiera. Nowy rząd nie miał łatwego zadania. Układy w Evian spotkały się z ostrą krytyką całej prawicy. Nawet przedstawiciel MRP (chrześcijańskodemokracja) wyszedł z rządu. Siłą gabinetu stanowili gauliści z Unii nowej republiki i osoba ministra spraw zagranicznych Couve de Murville. Wybory na jesieni 1962 dały rządowi wyraźny sukces.

Dowodem właściwej linii politycznej było w r. 1964 zlikwidowanie osobnego ministerium dla repatriantów algijskich. Asymilacja repatriantów dokonała się szybko i spraw nie. Problem repatriantów w r. 1968 w ogóle przestał istnieć, było to w

dużym stopniu zasługą samego premiera. W tym celu powołał przy urzędzie rady ministrów specjalny fundusz niezależny od ministerstwa finansów przeznaczony na interwencje w sprawie nowego zagospodarowania kraju. W r. 1962 rząd opracował pierwszy plan rozwoju gospodarstwa kraju, drugi taki plan ustalono w r. 1965. Rządowi udało się w r. 1963 powstrzymać inflację. W tej sprawie interwencja premiera wyprzedziła inicjatywę ministra finansów Premier rozbudowuje agendy urzędu prezydium rady ministrów, obok gabinetu doradców technicznych przy de Gaulle'u, powstaje zespół fachowców przy premierze. Obserwatorzy stwierdzają, że Pompidou jako premier posiadał znacznie większy zakres działalności niż jego poprzednik Debre.

W r. 1963 w czasie wielkiego strajku górników Pompidou potrafił utrzymać się na stanowisku arbitra, wykorzystał rozbieżności we francuskim ruchu zawodowym: spory między Generalną Konfederacją Pracy a chrześcijańskimi i niezależnymi związkami zawodowymi. Mimo to



administracyjne i gospodarcze. Dla mnie i moich uczniów najważniejsza była, oczywiście, szkoła. Przejelismy meble ze szkoły baptystów i jeszcze przed majem moja dawna szkoła przy ul. Nawrot 12 była zorganizowana. Podczas tej pracy doszła do nas wieść o kapitulacji Niemiec. Dla mnie było to już tylko formalne potwierdzenie końca wojny. Pochłonęło mnie nowe życie.

**WITOLD GÓRSKI** —  
pracownik kolumny transportu  
sanitarnego m. Łodzi

Przemaszerowałem wiele kilometrów zanim doszedłem do jakiejś małej wioski w pobliżu Łaby, gdzie zastał mnie 9 maja. Miałem 14 lat, gdy wojna rzuciła mnie do Archangielska, potem Tomsku i Uzbekistanu. Kiedy doszła mnie wieść o organizowaniu I Dywizji im T. Kościuszki miałem już lat 17. Zgłosiłem się tak jak wszyscy i po krótkim przeszkoleniu w Sielcach walczyłem pod Lenino. A potem już Polska. Walki w Deblinie, na przyczółku Magnuszewskim, Góra Kalwaria, wyzwolenie Warszawy—Pragi, zdobycie Jabłonnej, wyzwolenie Warszawy, przełamywanie Wału Pomorskiego, forsowanie Odry.

Po wyzwoleniu obozu w Oranienburgu przerzucono nas jako I Dywizję Kościuszkowską do zakończenia walk w Berlinie. Tam brałem udział przy zdobywaniu Politechniki przy Berlinerstrasse. Po kapitulacji Berlina ruszyliśmy w kierunku Łaby. Po drodze rozbroiliśmy w lesie grupę około 1500 żołnierzy niemieckich i zatrzymaliśmy się we wsi, której nazwy już nie pamiętam.

Był właśnie 9 maja. Około 10, podczas przygotowywania posiłku, usłyszeliśmy straszną kanonadę artylerii przeciwlotniczej. Wszyscy myśleli, że to niemieckie samoloty. Wyskoczyłem z domu i wtedy usłyszałem — koniec wojny! Co wtedy przeżyłem? To był moment, w którym uprzytomniłem sobie ogromny trud dwu i półletniej walki, cały czas w zwiadzie i sam fakt, że żyję, że doczekałem tego momentu, a prawie wszyscy najbliżsi koledzy zginęli. Z radości wystrzeliłem cały magazynek amunicji, wszyscy wokół mnie strzelali również.

Taki był dla mnie koniec wojny, choć, jak się niedługo okazało, wcale nie koniec walki. Z II pułkiem piechoty, z którym przeszedłem cały szlak, wróciłem do kraju. Tu wysłano nas do walk z bandami na Lubelszczyznę.

**CZESŁAW KAMIŃSKI** — emeryt

Często oglądam to zdjęcie. Wśród wielu wojskowych jest major Langner, jest radziecki generał i ja. Przyjmujemy defiladę w Hohenevells, 9 maja 1945 roku. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jeszcze niedawno byłem więźniem w hitlerowskim obozie. Złapali mnie w Łodzi, 3 maja 1940 roku. Należałem wtedy do POB i akurat wybieraliśmy się po ukrytą broń. Do października Niemcy trzymali mnie w Łodzi. Potem do marca lub kwietnia — dokładnie nie pamiętam — 1943 roku obóz w Oświęcimiu. Stamtąd przewieziono mnie do Neuegamme koło Hamburga. Przez trzy miesiące, do stycznia 1944 roku pracowałem w komando poszukiwaczy bomb, a stamtąd znów mnie wywieziono, tym razem do Sachsenhausen w Oranienburgu. W październiku 1944 roku znalazłem się w filii obozu, w grupie, która naprawiała drogi kolejowe. Po bombardowaniu Monachium ewakuowano nas w Alpy. Mieli nas tam wykończyć. Pamiętam, że 26 kwietnia 1945 roku uciekliśmy w dziesię-

ciu i schroniliśmy się w pobliżu Wasserburga. Tamtejsza ludność była sterroryzowana przez ukrywające się w lasach dwie dywizje SS, o których stacjonujący w pobliżu Amerykanie nie wiedzieli. Trzy dni siedziałem razem z dwoma kolegami w obozie jakiegoś Bawarczyka. Tamtych siedmiu poszło szukać innej kryjówki. Po mniej więcej godzinie usłyszeliśmy strzały. Natknęli się na Niemców. Mówię po niemiecku, więc postanowiliśmy, że razem z gospodarzem spróbujemy zawiadomić Amerykanów o SS-manach w lesie. Przebrałem się za pastora, że to niby z komunią idę do chorego i tak dotarliśmy do Wasserburga. Komendantem był amerykański Polak, który po godzinie

pierw trzeba było złożyć sprawozdanie z wyprawy, a dopiero potem można było wrócić do domu, umyć się, najeść i położyć spać. I przespaliśmy te najważniejsze noc. Nie słyszałem ani salw, ani okrzyków i wiatatów. Spałem mocno, a gdy wreszcie obudziłem się, przez długi czas nie wiedziałem, że jest to już pierwszy dzień pokoju.

**MIECZYSLAW PAWLIKOWSKI** — aktor

Ten dzień zastał mnie w Londynie, gdzie, po odbyciu kolejnych lotów i zestrzeleniu, pracowałem jako odkomenderowany redaktor i spiker BBC dla Polskich Sił Zbrojnych. Jedno, co mi zostało z tego dnia w pamięci, to obłędny, szalony tłum na ulicach Londynu i lecące ze wszystkich okien biur, a pewnie i domów prywatnych, chmury papieru. Ludzie wyrzucali to, co mieli pod ręką. To był oddech wielkiej ulgi, pierwszy dzień nie zaciemnionych okien. Jak zwykle w takich sytuacjach padali sobie w objęcia ludzie przed chwilą jeszcze sobie obcy. Londyn bardzo odczuł bombardowania V-1 i V-2, podczas których ludzie koczowali w stacjach metra, pokodem kładąc się do snu i oszczędzając racjonowaną żywność. Ja znalazłem się w specyficznych warunkach. W tym dniu, w szóstym roku obczyzny, natychmiast powstał problem jak najszybszego powrotu do kraju. Udało mi się bez specjalnego czekania 25 sierpnia 1945 roku wyładować w Warszawie. I dopiero ten dzień, pierwszy we własnym kraju, odczułem jako pierwszy dzień pokoju.

**WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ** — literat

Dla Polaków na terenach wyzwolonych przez Armię Radziecką i Polską, dla łodzian i tych wszystkich, którzy po wygnaniu przez hitlerowców z Warszawy i po długiej, ciężkiej tułaczce znaleźli dach nad głową w robotniczej Łodzi, wojna faktycznie skończyła się wcześniej, niż w dniu podpisania przez Niemców aktu kapitulacji.

Odbudowując swe życie w mieście, które dla wielu stać się miało miastem rodzinnym z wyboru, czekaliśmy na formalne przypieczętowanie klęski hitlerow-

skiej bestii. Bowiem o finale, na jaki zasłużyli Niemcy hitlerowskie dowiedzieliśmy się nieco wcześniej. Pracowałem już wówczas w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, mającej swe redakcje i biura w dzisiejszych lokalach RSW „Prasa” i kierowanej przez energicznego i pełnego inicjatywy prezesa, Jerzego Borejsę, którego nazywano żartobliwie „królem polskiej prasy socjalistycznej”. Z racji święta 1-majowego Borejsza postanowił urządzić dla pracowników „Czytelnika” i zaproszonych gości pierwszą po wyzwoleniu zabawę w wielkiej sali dzisiejszego Klubu Dziennikarza. Zabawę wyznaczono na sobotni wieczór, 2 maja. Przyszliśmy tam ubrani jak kto mógł i w czym kto miał. Były to czasy, kiedy Łódź na najbliższe lata przejęła na siebie zastępczo zaszczytne obowiązki i funkcję faktycznej reprezentacji zburzonej stolicy. Kogóż więc nie było na zabawie w „Czytelniku” 2 maja 1945 roku? Nie sposób wliczyć wszystkich. W polu mego widzenia byli i pozostali po dziś najbliżsi znajomi, koledzy i przyjaciele — kapitan Stanisław Jerzy Lec, porucznik Leon Pasternak — ówczesni w wojskowych mundurach — redaktorzy „Szpilek”; plastycy — Jan Marcin Szancer, Ignacy Witz, Eryk Lipiński; pisarze — niezapomniany Jan Brzechwa — poeta i bajkopisarz, mieszkający dotąd w Łodzi poeta i prozaik Jan Huszcza, a także obecny zastępca dyrektora RSW „Prasa”, Bogdan Głowacki i wielu innych. I oto gdzieś około północy — jeżeli pamięć mnie nie zawodzi — w wesole gwar zabawy wdarły się głucho odgłosy detonacji artyleryjskich. Chwila konsternacji, a cóż to? — pomyśleliśmy. — Czyżby hitlerowcy byli jeszcze zdolni kierować z obleżonego Berlina nalożami bombowymi na miasta zwycięzców, którzy ich niemal rozgromili? Nieporozumienie wyjaśniło się szybko. Detonacje, które nas zaskoczyły, były salutami artyleryjskimi z powodu kapitulacji Berlina.

Tamta więc noc z 2 na 3 maja 1945 roku, a później 9 maja utwierdziły nas w przekonaniu, że weszliśmy w nieodwracalną erę wolności i pokoju, że skończyło się ostatecznie i na zawsze męczeństwo narodu polskiego, który od stuleci zapisał się w historii świata bohaterskim umiłowaniem wolności, sprawiedliwości, będących dla Polaków wartościami nieprzemien- ną i wyższą ponad cenę życia.

Notowała: **BOGDA MADEJ**

# Dzień który znaczy pokój

wysłał do lasu wojsko. Zaraz potem, razem z innymi, zaczęliśmy organizować w Wasserburgu obozy dla Polaków i niemal od razu tworzyło się pierwsze transporty do kraju. Wreszcie przyszedł 9 maja i ja, który jeszcze kilkanaście dni wcześniej musiałem ukrywać się, przyjmowałem defiladę. Dla niedawnego więźnia to był moment ogromnej satysfakcji i dumy. Ja także należałem do zwycięzców.

**KAZIMIERZ NIEWIMOWSKI** — robotnik

Całą okupację byłem w Łodzi, tu zastała mnie wojna i tu przyszło jej zakończenie. Doskonale pamiętam pierwszy dzień wolności, słoneczny mroźny styczniowy dzień, kiedy ze łzami w oczach witaliśmy radzieckich żołnierzy. Przez kilka poprzednich żyliśmy w ogromnym napięciu. Niemcy wywozili z fabryk maszyny, a my — liczna grupa robotników — staraliśmy się temu przeciwdziałać. Ukrywaliśmy części maszyn, ładując je do skrzyń jako złom. Wykrycie tego groziło w każdej chwili śmiercią, ale nie było innego wyjścia. Maszyny musiały pozostać w Łodzi. Nie zawsze udało się je uratować.

Dlatego zaraz po wyzwoleniu wraz z innymi kolegami, stworzyliśmy brygadę, której zadaniem było poszukiwanie wywiezionych z Łodzi maszyn. Kilka razy wyruszyliśmy z Łodzi, aby penetrować pozostawione przez Niemców kolejowe wagony, samochody i magazyny w poszukiwaniu maszyn. Wieść o upadku Berlina zastała mnie w małym miasteczku na Ziemiach Zachodnich. Jego nazwa uleciała z pamięci, choć obraz poszarpanych pociskami domów, puste ulice i białe chmury, powiewające na wiosennym wietrze utrwały się na zawsze. Odpoczęliśmy w opuszczonym, ponemieckim domu i ruszyliśmy w drogę powrotną do Łodzi. Nie była to łatwa podróż. Korzystaliśmy z każdej okazji, aby trafić na ślad potrzebnych maszyn. Toteż i podróż trwała kilka dni. Do Łodzi powróciłem 8 maja rano. Byłem potwornie zmęczony. Naj-



Adam Bunsch: Działko przeciwpancerne

udało mu się poprawić stosunki z przywódcami CGT (gen. konf. pracy), które za czasów Debre były bardzo napięte. Odnótować można osobliwość, że stało się tak, choć Pompidou był przekonany o potrzebie istnienia marginesu bezrobotnych, by na rynku pracy panowała konkurencja, przekonywał przedsiębiorców, że kalkuluje się ponosić ofiary zasiłków na bezrobotnych, którzy powodują, że robotnicy mają małe szanse w walce o podwyżkę płac. Z drugiej strony jednak polityka gospodarcza rządu Pompidou zmierziała do niwelowania różnic w dochodach ludności rolnej i miejskiej, zmierziała do wzrostu udziału robotników w zyskach, to był jeden z celów lansowanej z wielkim hałasem „partycypacji”. (od r. 1963). Powoływanie komitetów zakładowych miało służyć rozpowszechnieniu przekonania, że uzyskanie dobrobytu możliwe jest jedynie poprzez wzrost wydajności pracy, lepszą organizację pracy.

Wybory prezydenckie w r. 1965 nie wypadły tak dobrze dla de Gaulle'a jak wybory do parlamentu w

r. 1962. Pierwsza tura (wybory w V republice francuskiej odbywają się w dwu turach w odstępie tygodnia) przyniosła rządowi bardzo skromny sukces równoznaczny nie mał z porażką. Trzeba było — Pompidou robił to zresztą bardzo zręcznie — w szczególny sposób interpretować wyniki wyborów, by można było uznać za pomyślne dla rządu. Jednym z jego argumentów był fakt, że gauliści zdolali zebrać wiele głosów robotników i chłopów. Okazało się, że w bardzo nielicznych tylko departamentach opozycja uzyskała większość. Dla Pompidou ważne było skonstatowanie rozbięcia lewicy. Atak na Mitteranda Pompidou przeprowadza bardzo energicznie, oskarża go o awanturnictwo, o gotowość kapitulacji wszędzie wobec ZSRR, w NATO, wobec EWG. Pompidou był przekonany, że programowana przez de Gaulle'a stabilizacja nie powinna oznaczać stagnacji. Nie należy spiętrzać reform, ale nie należy się też ich wyrzekać. Pompidou podzielał zawsze rezerwę de Gaulle'a wobec hasła zjednoczenia Europy.

Wybory parlamentarne 1967 przy-

niosły rządowi Pompidou znikomą większość. Pompidou pomyślał o reorganizacji władz Unii nowej republiki, zamiast jednego sekretarza powołano komitet uzależniony w dużym stopniu od premiera. Couve de Murville przepadł w wyborach, ale de Gaulle zdecydował, że należy go utrzymać w rządzie. Najbliżsi współpracownicy Pompidou to Chaban-Delmas, Debre, Foccart, Frey, Ortoli.

Mobilizacją sił stała się konferencja unii demokratycznej w Lille 24—26 listopada 1967. Pompidou chce rozszerzyć bazę społeczną rządu. Najbliższe kontakty łączy go z tzw. lewicą gaulistowską.

Pompidou potrafił obojętne trudności związane z istnieniem słabej większości rządowej, skorzystał z przepisu konstytucji przewidującego możliwość udzielenia rządowi specjalnych pełnomocnictw. Opozycję szachuje osiągnięciami rządu w zakresie budowy szkół, znacznego powiększenia liczby uczniów szkół średnich.

Wydarzenia majowe 1968 zastały premiera w czasie jego wizyty w Afganistanie. Po przylocie do Pary

ża Pompidou ma gotowy plan działania. Już nie chodzi o ruch studencki, zapowiedź strajku powszechnego go stanowi realną groźbę polityczną. Pompidou zarządził wycofanie policji, uwolnienie wielu przytrzymanych studentów. Postanowił nie czynić żadnych wysiłków, by nie do puścić do strajku, trzeba pozwolić się „wystrajkować”. Manifestacja 13 maja nie doprowadziła do starć, było to dużym osobistym sukcesem premiera. Usiłuje on wygrać różnicę zdań między CGT a KPF. Wymógł na de Gaulle'u, aby ten nie odwoływał zaprojektowanej podróży do Rumunii, nie należy pogłębiać nastrojów panicznych. W przemówieniu telewizyjnym nawołuje do obrony republiki. Pompidou nie zgadzał się z de Gaullem co do potrzeby szybkiego zarządzenia nowego referendum. Podsuwa myśl rozwiązania izb i nowych wyborów. Uruchomienie organizacji obrony cywilnej, mobilizacja środków lokomocji i środków pędnych daje szansę rządowi. 30 maja zapada decyzja de Gaulle'a o rozwiązaniu izby. Wybory odbyły się 23—30 czerwca w daleko spokoj-

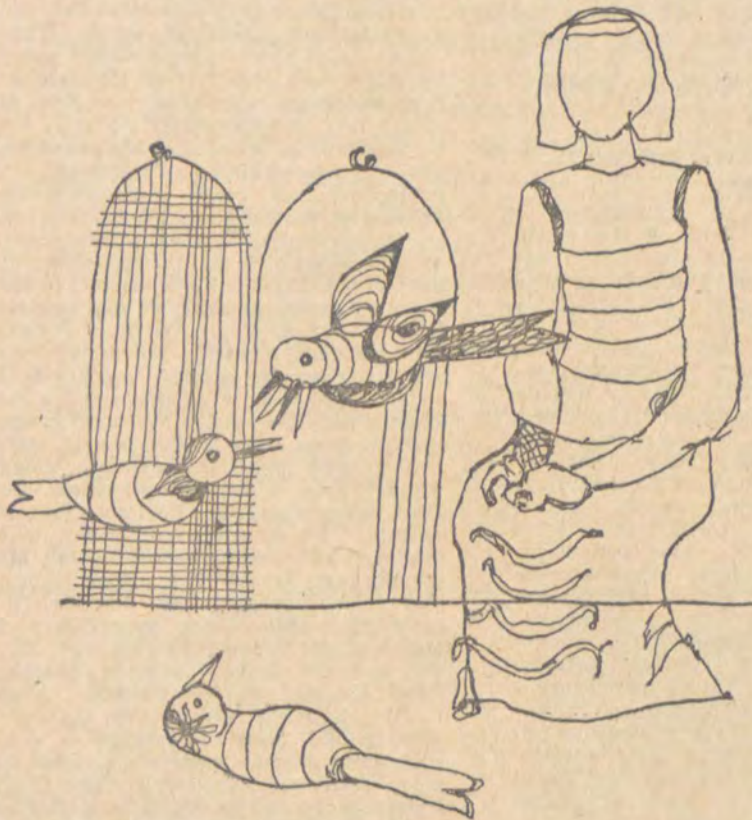
niejszym nastroju niż ten jaki panował w połowie maja. W porę ogłoszona amnestia polityczna rozładowała sytuację. 7 lipca de Gaulle zdecydował konieczność ustąpienia premiera Pompidou pozostał we władzach naczelnych Unii nowej republiki. W lutym 1969 de Gaulle wraca do pomysłu referendum w sprawie zasad polityki wewnętrznej i gospodarczej, wiadomy jest wynik tego referendum. Ustąpienie de Gaulle'a nowe wybory prezydenckie i Pompidou dotychczasowy nr 2 w ruchu gaulistowskim wszedł jako prezydent do pałacu na Polach Elizejskich.

W ruchu gaulistowskim Pompidou reprezentuje młodych, reprezentuje polityczny realizm przeciw „romantyzmowi”, gen. de Gaulle'a. Przygotowywał się do roli sternika nawy państwowej od dawna, od dawna montował wokół swej osoby liczny zastęp współpracowników. Wspomniałem o kontaktach z lewicą gaulistowską, ale wśród ekipy Pompidou figuruje też R. Poujade klasyczny przedstawiciel francuskiego drobnomieszczactwa.



JERZY WALEŃCZYK

# Klatka z rzeczywiście pięknym kanarkiem



Rys. Edward Ingłot

Piórka miał takie, jakby opalane słońcem i śpiewał przecież ładnie, jak tylko Potocki wracał z pracy i łamał się z kanarkiem chlebem, i Potocki wznosił się na stołku pod klatką i wykazywał kanarkowi, że ma w nim, Potockim, rzetelnego przyjaciela, spokojnego, co go nie nie rozjrzyna, kiedy w warsztacie Cynkiel wola, o, Potocki, sknocieś dyferencjał, albo, o, Potocki ha... ci wylazł, zamknij rozporek, albo, o, Potocki, ale żeś złożył tę linkę od hamulec, niech się klasa robotnicza pokocha, albo, Potocki, co ty tak trzymasz te naoliwione szmate, bracie, ech, Potocki.

A jak przyszedł do warsztatu, to zaraz majster, pozamiatasz nam tu bracie, no i zamiatał tę posadzkę czarna, gdzie i śrubki po kątach i gwinciki i materki, gdzie i części instalacji, gdzie stary Papuga jak spawa, to butla z acetylenem sama mu furczy i naddaje się.

Kanarek cichł, a jak śpiewał, to jakby był wzburzony i jakby chciał rozszarpać preciki klatki.

Potocki mówił to od rana Papudze w warsztacie. Papuga z wygładzonym beretem na łbie, zsunietym do połowy czoła, bez pimpla, tylko z tak śmieszna dziurka w środku bereta, w okularach z drucianą oprawką, w naoliwionym kombinie rozpościła ręce, wstawał z kanistra i grzmiał: Potocki, chromolisz, kanarek chce samicki, po robocie w „Tkackim” zrobimy jednego, a

on: ale nie za dużo, tak w sam raz, jak Pan Bóg przykazał i partia pozwala, i ci wyłożę, Potocki, jak stary akumulator na słońce, na wierzch, tylko mi bracie znów nie pozamieniąj świec jak wczoraj, mamy z tobą trzy światy, a w ogóle zapnij se rozporek, bo ci klejnoty pies odgryzie.

Papuga, to jest taki stary wał korbowy. Jak coś zasunie, to cała hala grzmi i oczy wszystkich za zasmolonych masek śmieją się i jest wesoło.

„Ty, Potocki, bracie w Chrystusie, śmieje się Papuga, o paliwie myśl, nie chromol mi od rana ze swoim kanarkiem, może żeś się w nim zabijał, co, ciągle tylko ze swoim kanarkiem, a wiesz, co to jest paliwo? Ech, ty mechanik”.

— Co mam nie wiedzieć — mówi Potocki zawstydzony.

— Guzik wiesz — śmieje się Papuga i podnosi okulary na czoło i grzbietem dłoni prawej pociera zmarszczki. — A wiesz, co to jest koncern?

— A, co mam nie wiedzieć — stawia się Potocki.

— Jedną trzecią światowej produkcji ropy naftowej trzymają w swojej łapie trzy koncerny na świecie, wiedz.

— Pan Papuga to bajeruje, guzik tam trzy.

— A wiesz, co to jest spirytus?

— Spirytus, no, spirytus to gaz.

— Guzik gaz, to domieszka do paliwa ty mechaniku przyszłości, zapamiętaj sobie, spirytus nie jest paliwem samoistnym. Sam spirytus

zabija. Ech, Potocki, Potocki ja bym cię przedestylował, na sucho w generatorze.

— Co pan opowiada — mówi nieśmiało Potocki.

— Zagazowałbym cię i tyle z twoim kanarkiem.

Mokre trociny oblepiają stare buty Potockiego i Potocki patrzy uważnie na trociny, co zeszy się na butach, ciężkie, czarne. Papuga to ciągle tak coś wymyśla.

— Jak to co, ty przez antracyt nie przepuszczony. Oj, zdestylował bym cię na sucho, jak żeś taki subtelny.

Niektórzy udają, że są bardzo zajęci. Akurat wtedy instalują lampki sygnałowe.

Potocki otwiera gębę.

— Chromolić, to pan chromoli, nie ja.

Papuga zesuwa okulary na oczy. Wyciera ręce w ciężką, tłustą szmatę, siada na stołku.

— Che, che, che, a jak wolisz, gazowanie poprzeczne czy gazowanie w dół, co? Co, a może myślisz, że masz z wariatem do czynienia, ty dmuchawo powietrzna.

Chór głosów, syków acetyleny, motorów zapuszczanych miesza się razem, schodzi się w jeden szum. Potocki jest chudym, bladym chłopakiem z przezierną cera, trzyma ręce opuszczone wzdłuż ciała. Pod paznokciami czernieje mu oliwa. Papuga roztawia noży, rozsuwa, szura buciskami, wygiętymi jak u pajaka.

— Najlepiej to był Sud-gaz — mówi chciwie. I milknie.

„Nawet siemienia nie chce żreć, bestia — myśli Potocki — kartoflami to kanarka nie nakarmisz, jagły też trochę za grube jak dla kanarka, kaszę tatarską przecież mu nie dam, a jakby się obżarł peczakiem, to by zdechl. Siemie, cienutkie, miligram, cienutkie, no i nie wiadomo czy to dobre, że mu ostatnio piwa do kieliszka wlałem. Ho, ho, musiało mu dobrze dokuczyć, taki kanarek to też ma swoją stabilność, już zaczął piwo pić. Początkowo, to taki zwierzak, jak by był przerażony, łepkę wsuwał między preciki, piórka zwichrzył i głosik mu się wznosił pod sufit, akurat czytałem wtedy Arseny Lupina, jakieś „Tajemnice Paryża”, czy coś pod te tajemnice, a ten ci rozrzasa peczak dziobkiem, bo mu peczak zacząłem dawać, owszem dziobał, ale teraz widać, że subtelniak jest, tylko siemie mu, czystą trocinę pościelić, takie milutkie kupki robi, że aż człowiekowi się serce rozplywa. Takie bydlę, ten kanarek, no, no i z tym piwkiem, kto by pomyślał, że tak będzie ryczał”.

— Najlepszy to był Sud-gaz generator — powtarza Papuga.

Stary mechanicy to zaraz zaczętną świecić tylnym sygnałem i tak się dzieje, że w tej samej chwili wszystkie wycieraczki u szyb tłoczą się lekko, wznoszą, wracają, poruszają cholernie, roztrzasają zamgloną szybę, a puszczony, ani się śpieszą, ani opóźniają, tylko — jak to wycieraczki do szyb — skrzyją niektóre, ale to nowe, i już szyba błyska. I to dobre, bo jak jest jesień, to kierowca powinien zobaczyć tę perspektywę przed sobą.

A ten Papuga to taki stary wał korbowy. Nie śpieszy się. Tylko patrzy. A zanim przemówi, to też można na gorąco opony zgalwanizować, założyć. Z tymi Simcami to się cackają, takie niedopieczzone wozy, ale klient to klient, a jak jest firma państwowa, to marudzą, ale przywaciarze więcej, bo każdy dba o swoje, a potem to już nie wiadomo, co jest kogo.

Przecież kanarek nie żeźre centnara siemienia, nikt tak nie powie, kto ma trochę oleju we łbie.

Papuga pochyła łeb i widać tę jego dziurkę w berecie wygładzonym śmieszna, bo mu się urwał pimpla. Oj, chłopaki, jak śpią to jeść nie wolają, a co wolają, to diabli ich wiedzą. A ta wystawa kanarków to była ładna. Ludzie lubią kanarki, kanarki lubią ludzi. A niektóre te bestyjki to tak lekko poruszają wdzięcznie i ciu, ciu, ciu. No, ale kartofli nie jedzą, to fakt. A jak spłuszysz takiego, to ho, ho, to nie papużki błonowo-różowe, bo taka to chwyci dziobkiem precik i zdumiewa się, że precik nie drży i zasypia, trzymając taki precik w dziobku, jak koniuszek zapalki smolnej, phi, z takiej sosny, to ile można zrobić zapalek. Długo by trzeba liczyć. Pewnie. Ale tym to się zajmują panowie statyści. Papuga coś mówił kiedyś o nich, bo Papuga, to taki wał korbowy, albo taka butla acetylenowa, uwieczniona gumowym węzłem i palnikami. Syczy coś, albo diabli wiedzą co. I ma pretensje. Też się wybrał, pretensje, a mówili, ciężarówka jest wolna, bierzemy ciężarówkę i na grzybki, bo sezon.

Każdy by sobie rad ususzyć. To dobre spędzenie niedzieli.

Właściwie to nie wiadomo, na co Papuga się złości. Pcha się z tym swoim gazowaniem.

— A w antracytowym Mercedesie-Benz to gazowanie było poprzedzone — wyprowadza wniosek nie wiadomo z czego.

— Oj, Papuga, Papuga, gadasz trzy po trzy, a wychodzi para pięt naście — mówi niezadowolony majster i odchodzi do kościatego podwozia przy wyjściu z hali.

— Nie był murowany, tylko z blachy stalowej, jak taki szyb czworokątny — rzuca nagle do Potockiego. — Nie potrzeba było usuwać z szybu jego zawartości. I króciec do odsylenia gazu był raczej z boku i paliwo było na dnie, a nie na ruszcie.

Papuga poruszał mechanicznie rekami, przypatrując się pilnie buciśkom w naoliwionych trocinach.

— No i co z tego — ciska Potocki — zły, bo sprzegło czeka na niego, a ten tu coś obwieszca.

— A to z tego — kurczy się Papuga, że gaz odsysany był przez rurę wmontowaną po przeciwnym stronie, i otwór odprowadzający, jak chcesz wiedzieć, osłonięty był blachą dziurkowaną, właśnie dziurkowaną. Zamyśla się.

— No i co — pyta Potocki.

— A to, że cząsteczki, cząsteczki, kapujesz, takie farfocle różne zostawały, a filtr, filtr był najważniejszy, bo to pierwszy stopień i surowy gaz łączył się z masą. A oszczędzać trzeba było, oszczędzać.

No tak, facet ma wyraźne hobby, z tymi turbogeneratorami na gaz. Głupi ramol. Jak zawsze o tym antracycie i o tym gazowaniu, bo mówi, że to było bardzo trudne. I ciągle ten sud-gaz i sud-gaz. Głupi ramol.

Żeby być dobrym fachowcem, to człowiek musi się namęczyć dosyć, a taka bestyjka kanarek to i życie umili. Ale jak. Kartofli przecież nie żre, piórka wznosi jak mu dasz kartofla, i skrzypli nie śpiewa. Po siemieniu delikatnym to śpiewa ładnie, trele zawodzi i zawodzi, a jak mu trochę mleczka dać, bo lubi mleczko, to tak tylko sobie dziobek w kieliszek z mleczkiem, człowiek wtedy wlepią w niego gąły i uchylić się chce od tej klateczki, żeby wyfrunął.



Teraz, jak piwa nie pije, to rzeczywiście głos ma piękny. Znam taki dobry sklep z siemieniem, tam kupują ludzie też różne nasiona, o święty spirytusie. Kanarek to przyjaciel człowieka, ptaki to dobra rzecz. A ten, co je wymyślił, to chyba nie Papuga.

EUGENIUSZ IWANICKI

# LOT

Z naszej paczki jedynie Alek miał skrzydła. Ciągle gdzieś wylatywał, przysparzając kłopotów domownikom, kolegom w pracy, przełożonym. Jecni uważali go za maniaka, inni za fantastę, jeszcze inni za pomylekca. Tylko ja wiedziałem jak jest naprawdę.

Nie pamiętam już, w jakich okolicznościach poznałem Alka. Może spotkaliśmy się w pijalni piwa obok chłodnej bramy, przez którą szło się do ósmej zajezdni,

może w jakimś barze, a może w tramwaju. Alek dość długo jeździł na podmiejskiej linii ciągnącej się kilometrami przez bezbarwne wioski. Wsiadałem zazwyczaj na pierwszym przystanku poza granicami Łodzi z ciężką wypełnioną butelkami piwa. Na krańcówce, która ogromną pętlą opasywała rynek zaniedbanej miasteczki, pociągaliśmy spokojnie, wiedząc, że jest to jedyna chwila, w której możemy oddać się całkowitej kontemplacji. Nie piliśmy dużo, ot dwie, trzy butelki, potem Alek szedł za żywopłot. Zawsze z tym miał kłopoty, w przeciwieństwie do mnie, bo ja nawet po pięciu butelkach nie odczuwałem parcia. Wódki nie braliśmy nigdy, bo Alek na służbie był abstynentem. Co innego po służbie. Wówczas pił do białego dnia, a jak starczało forsę to i dłużej. Nawet dziwiłem się, mówilem: Co ty, Alek, domu nie masz czy jak, że ciągle siedzisz w knajpie? A żebyś wiedział, odpowiadał, że nie mam, bo moja żyje teraz z jednym takim ze straży przemysłowej. Więc niby gdzie mam pójść? Przeszkadzać nie będę, chociaż mnie to boli. Dlaczego właśnie z nim? Ech, bracie, co ta kobieta mnie kosztowała! Kiedyś to nawet chustkę jej kupilem, słowo daję, taką zieloną w kwiaty... No powiedz, byby inny taki dobry jak ja, co? Bić też

specjalnie nie bilem, no, czasem po pijanemu, jak nawinęła się, ale żeby specjalnie...

Alek był artystą, taką już miał widać naturę, że lubił fantazję. Niekiedy, na krańcówce, wyjmie organki i tak znacznie tęskno wyciągał na tych najwyższych nutach, że człowiekowi dziwnie się robi, piałby i lał w mordę każdego, kto się natoczy. Lubił też śpiewać, miał niski, trochę schrypnięty głos, ale jak zaciągnął o siwym gołębiu, co to przylatywał do chłopca zamkniętego w starym zamku na wysokiej wieży, to mówię wam, jakby człowiek gołą ręką chwycił za serce...

A to, że wódka go zgubiła, to zwyczajne kłamstwo. Alek, jak powiedziałem, nigdy po pijanemu nie szedł do pracy. Wtedy też był trzeźwy, no wypił trochę wieczorem, niedużo, tyle co zawsze, a potem przyszła na niego ta fantazja. Najpierw chciał lecieć, bo czuł, że ma skrzydła, zresztą zawsze je wyczuwał w takich właśnie momentach, ale nie mógł się oderwać od podłogi. Wyszliśmy więc na ulicę i tu okazało się, że nie ma potrzebnej szybkości. I tak przez całą noc: rozpędzał się i już, już wlatywał, ale okazywało się, że albo teren był nierówny, albo przeszkadzały gałęzie klonów rosnących po obu stronach alejki, albo

rozbieg był za krótki. Prawdopodobnie wówczas przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie wlecieć z tramwaju.

I poleciał. To była szaleńcza jazda. Ci, którzy znajdowali się w wagonach, byli przekonani, że jest to ich ostatnia podróż. A on przecież chciał jedynie lotu. Wykrzywione szyny stromo stały się w kierunku podmiejskich ogrodów, by łagodnym łukiem okrążyć dwa stawy wypełnione pomarańczową wodą. Tramwaj nabierał rozpędu. Płynął, ledwo dotykając kołami wyszlizganej krzywizny. I wówczas Alek poszybował. Nie, nieprawda, że przeciął jedynie przestrzeń dzielącą wagon od wody. Że zabiła go wyobraźnia. Tak mówią ci bez fantazji. Bo dla nich lot to chwila w powietrzu. A on prosto skoczył poza ziemskie pojęcie o wędrowce w czasie. Rozpostarł ręce opierając się na krawędziach istnienia i gubiąc na zawsze z pola widzenia starą planetę. Płynię zapewne gdzieś w innym niż nasz wymiarze, dziwiąc się, czego szukają ludzie w zmaconej wodzie obojętnych stawów.

No tak, ale z naszej paczki tylko jeden Alek miał skrzydła...

Opowiadanie ze zbioru pt. „Powódz w Dolinie Psów”. Książka niebawem ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



## POLONICA

W AUSTRII O POLSCE

W związku ze zbliżającymi się XXXIX Międzynarodowymi Targami Poznańskimi, Towarzystwo Austriacko-Polskie w Wiedniu, wydało kolejny numer czasopisma „Ostereich-Polen” (Austria-Polska), poświęcony gospodarce polskiej i Poznaniowi. Ale również sporo miejsca w numerze zajmują sprawy kultury. Numer otwiera artykuł pt. „Nieznanym Choć”, zawierający wiele ciekawych szczegółów z życia kompozytora, zwłaszcza z czasów jego pobytu w Wiedniu i Paryżu. Następnie z okazji 90 rocznicy śmierci Henryka Wieniawskiego ukazał się obszerny artykuł o nim, ozdobiony reprodukcją drzeworytu, przedstawiającego portret twórcy. Z innych artykułów zwraca uwagę skrót odczytu red. Ignacego Krasińskiego, który został wygłoszony w Polskiej Czytelnicy w Wiedniu. Treści numeru dopełnia kronika wydarzeń kulturalnych, które miały miejsce w Polsce i Austrii, bądź dotyczą wspólnych działań austriacko-polskich.

J.K.

### SZTUKI POLSKIE W WIEDNIU

Przy Związku Polaków „Strzecha” w Wiedniu powstał amatorski „Teatr Propozycji”. Rezygując z tradycyjnych form oddziaływania i ograniczając się do lektury tekstu scenicznego członkowie zespołu teatralnego „Strzechy” propagują współczesną dramaturgię polską. Pod koniec lutego br. „Teatr Propozycji” przedstawił sztukę „Rodeo”, a z okazji 25-lecia powrotu do Polski Złiem Odzyskanych na uroczystym wieczorze w dniu 14 marca br. sztukę St. Grochowiaka „W popiół płodna”.

Obie imprezy spotkały się z bardzo życzliwym przyjęciem wiedeńskiej Polonii.

(er)

## POLONICA

C. i J. DUNINOWIE

# EX LIBRIS PO ŁÓDZKU

W naszych zbiorach mamy m. in. dwa pudła z ekslibrisami, na których napisaliśmy „ŁÓDZIA-NA”. — Kolekcja ta jeszcze niepełna, ale kiedy ostatnio przeglądaliśmy jej zawartość nasunął się wniosek, że sprawa dojrzała do opracowania. Warto pomyśleć o wystawie lub wydawnictwie obrazującym historię łódzkiego księgozbiorku.

Cóż więc znajduje się w tych pudłach? Pożółkłe, wielojęzyczne, skromne kartki. Często jedyny to ślad po ludziach i książkach dawno zaginionych, znak zainteresowań kulturalnych na terenie przemysłowego miasta. Oto dowody, że przed zorganizowaniem bibliotekarstwa publicznego, były tu niemałe księgozbiory nie tylko do prywatnego użytku. Skromne naklejki wypożyczalni Ludwika Fiszerka informują, że była ona czynna codziennie od ósmej do dwunastej i od drugiej do ósmej wieczorem, że książki wolno było trzymać cztery tygodnie, a nowości pięć dni. Niesforni czytelnicy musieli płacić za każdy dzień zwłoki dwie kopiejki. Księgozbiór ten sięgał kiedyś jakoby trzydziestu tysięcy woluminów.

Po roku 1905 pojawiła się mała karteczka, w ozdobnej ramce: Biblioteka Gimnazjum Polsk. w Łodzi Towarzystwa „Uczelnia”. Po wojnie zwanej wielką naklejono na wierzchu kartkę z napisem: Biblioteka Państwowego Gimnazjum im. Kopernika w Łodzi. Księgozbiór został rozproszony, ale jak świadczą zachowane egzemplarze i to musiała być spora biblioteka.

Jakże często prócz niewielkiej naklejki czy tylko pieczątki na przypadkowo zachowanym egzemplarzu, nie mamy innego śladu po dawnych bibliotekach łódzkich. Warto wspomnieć, że historyk bibliotekarstwa łódzkiego, Witold Wieczorek, zgromadził sporo tych najmniej-

szych źródeł, które w Bibliotece im. Waryńskiego oczekują opracowania.

Ozdobne, większe, czasami nawet wartościowe plastyczne, to ekslibrisy tużów łódzkiego „wielkiego świata”. Takie, jak tajemniczy, znany tylko w jednym egzemplarzu znak Maurycego I. Poznańskiego, czy wykonany przez Józefa Toma ekslibris kolekcjonera dzieł historycznych i starych rycin, bardzo nietypowego łódzkiego fabrykanta, Aleksandra Heimana-Jareckiego. Pomniejsze osobistości też miały swe zbiory. Kto może coś powiedzieć o losie książek Piotra Witana, któremu ekslibris z herbem „Wieża” drukował jeszcze przed I wojną R. Resiger? Jakże były losy księgozbioru Stanisława Ziemińskiego, który przejął z Warszawy książki Stanisława Laskowskiego zdobione secesyjnym znakiem z roku 1910? Dramatyczne losy roz-



proszy i częściowo zniszczy już w naszych czasach cenny zbiór heraldyki zebrany przez Kamockiego, znany ekslibrisem w formie pieczęci.

Katalog wystawy druków urządzony w roku 1925 staraniem uczniów Gimnazjum Miejskiego opisuje wiele bardzo cennych egzemplarzy, które znajdowały się w posiadaniu łódzkich kolekcjonerów. Niestety, jak się wydaje, niewiele z tych eksponatów wpłynęło do naszych bibliotek. Istnieje obawa, że większych z prywatnych księgozbiorów miasta należy spisać na wojenne straty kultury polskiej.

Osobny problem stanowią znaki własnościowe bibliotek publicznych i społecznych. Wiele lat, z niewielkimi zmianami tekstu, trwały trzy ekslibrisy Miejskiej Biblioteki Publicznej, wykonane przez inż. L. Rozenberga. Znaczą one prawie wszystkie książki zakupione przez pierwszego i wieloletniego dyrektora tej placówki, Jana Augustyniaka. Dopiero u schyłku tej epoki powstał nowy drzeworyt ryłca toruńskiego grafika R. Krzywki, który jest używany do dziś. Całkowicie rozproszona książka dawnej Wolnej Wszechnicy Polskiej ozdobiono niewielką naklejką, jedyną to bodaj materialny ślad istnienia tej pierwszej łódzkiej uczelni.

Po ostatniej wojnie wraz z rozmnożeniem księgozbiorów i ich wzrostem posypały się łódzkie ekslibrisy. Większe biblioteki mają już po kilka na różne zbiory, część z nich oznacza proveniencje, np. w Bibliotece Uniwersyteckiej osobne znaki posiadają książki, które należały kiedyś do literata i publicysty Pawła Hulki-Laskowskiego, czy profesora Józefa Litwina. Coraz więcej nawet małych księgozbiorów pieczętuje się własnym herbem. Nie pozostają w tyle i biblioteki rejonowe. VII RBP Łódź-Górna i II RBP dla Dorosłych Łódź-Polesie — były tu pierwsze.

Wraz z rozwojem ruchu bibliofilskiego i powstaniem już w roku 1927 Łódzkiego Towarzystwa Bibliofilów pojawiło się nowe zagadnienie ekslibrisu jako dzieła sztuki. Za sprawą Przemława Smolika ukazuje się pierwszy w Łodzi druk ekslibrisologiczny — „Ekslibrisy Karola Hillera, czternaście tablic” Łódź 1927. Teoria graficzna wyłożona przez Smolika, a wypracowana przez łódzkiego artystę może się nam dziś

wydać nieco sztuczna i krępująca twórcę, ale nie można odmówić jej konsekwencji w wyniku czego ekslibrisy Hillera stały się w grafice zjawiskiem niepowtarzalnym, uzyskały własne wyrażone oblicze. Autorowi chodziło bowiem o potraktowanie pracy graficznej w spo-



sób jednowymiarowy, aby grafika wklejona do książki nie weszła w konflikt z jednowymiarową czarno-białą kolumną drukarską. Wyjazd Smolika z Łodzi i upadek ruchu bibliofilskiego przerwał na kilka lat prace nad stworzeniem łódzkiego ekslibrisu. Zaraz po wojnie wraz z niebawym ożywieniem kulturalnym Łodzi i w tej dziedzinie zaczyna się coś dziać. Osiedla się tu Ludwik Tyrowicz, znany grafik ze Lwowa, który w swych płodnych łódzkich latach nadal interesuje się małą formą graficzną, tworzy ekslibrisy i wystawia je. Dobre wadzone nawet do pierwszego po wojnie łódzkiego wydawnictwa bibliofilskiego książeczki Janiny Kilian-Stanisławskiej „Ekslibrisy Ludwika Tyrowicza”. Jednak i tym razem moda nie utrzymała się długo. Co prawda wielu łodzian, w tym liczni twórcy i działacze kultury zaopatrzyli swe biblioteki w znaki własnościowe, cechowała je jednak przypadkowość, a poziom graficzny znacznej części prac może budzić wątpliwość. Dopiero w roku 1958, kiedy odrodził się w Łodzi ruch bibliofilski, najpierw w postaci Klubu Miłośników Książki przy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, a następnie Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki — powstało grono zamilowanych zbieraczy i kibiców małej grafiki. Tworzone są kolekcje, organizowane wystawy i spotkania. Między innymi zbiór Andrzeja Kempy, za-

pewne największy w naszym mieście, stał się podstawą do organizacji stałych, dwuletnich przeglądów ekslibrisu radzieckiego. Nawiazano szereg krajowych i zagranicznych kontaktów. W prasie łódzkiej znajdujemy wzmianki i artykuły, a w bibliofilskich wydawnictwach radzieckich, niemieckich i holenderskich — prace łodzian popularyzujące polski ekslibris.

Grono kibiców małej grafiki nie mogło pozostać bez wpływu na działalność twórców. Powstaje rzeczywiste zainteresowanie i wyraźne zapotrzebowanie na dobrą sztukę graficzną. Pierwszy odpowiedział na to zapotrzebowanie plastik łódzki. Teofil Józwiak, uczeń znanego wileńsko-toruńskiego grafika, Jerzego Hoppena. Wykonał on szereg znaków i wydał teczkę. Ekslibrisy tworzą następnie graficy: Galkiewicz, Baraniecki, Grun, Gratkowski, Kondek, Stańska, Tusiński, Runowska-Kulligowska i inni. Na specjalnej ekspozycji w księgarni naukowej przypomina no też postać L. Tyrowicza. Korzystając z zainteresowania pozostałymi graficy i zbieracze organizują tu swe wystawy.

Cały ten ruch nie pozostał bez skutku czysto artystycznego. Ekslibris coraz rzadziej jest traktowany przez twórców jako okazja do tan detnej „chałtury”. Na międzynarodowym biennale ekslibrisu organizowanym w Malborku do czołowych światowej twórców małej grafiki wchodzi dwaj łodzianie: Leszek Różga i Henryk Pióciennik. Obaj oni potrafili w stosunkowo krótkim czasie zdobyć znaczną popularność wśród krajowych i zagranicznych zbieraczy. W korespondencji między kolekcjonerami szczególnie często pojawia się imię Leszka Różgi. Dobra passa ekslibrisów na naszym terenie wydaje się trwać. Młody adept grafiki, Jerzy Stanecki, próbuje własnych dróg. Można sądzić, że i on wkrótce stanie się popularnym w międzynarodowym zbieraczym klanie.

PS. Wszyscy, których interesuje sprawa ekslibrisu w Łodzi a zwłaszcza, którzy posiadają dane informacje o ich właścicielach i twórcach, proszeni są o skontaktowanie się z Sekcją Ekslibrisu Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, Księgarnia „Pegaz”, Piotrkowska 49.

## Przeszłość i teraźniejszość

Nowy Świat — jak do niedawna zwano ląd amerykański — coraz bardziej pragnie być starym, jak najstarszym. Jest coś bardzo ludzkiego w tym usilnym dążeniu licznych amerykańskich miłośników przeszłości do przekonania samych siebie i innych o tym, że ich ląd nie jest tylko dzieckiem starej Europy, zrodzonym za sprawą Krzysztofa Kolumba. Dziesiątki już lat trwają próby zdjęcia z Ameryki odium młodości i wykazania, że jej kontakty z najstarszymi ośrodkami ludzkiej cywilizacji sięgają dawnych, jeśli nie pradawnych czasów.

Piękna legenda o Atlantydzie, której dał wiarę już Platon, zainspirowała liczne „odkrycia” na lądzie amerykańskim licznych śladów kultury fenickiej czy greckiej. Zaczęło się od poszukiwań, podjętych w 1872 roku w puszczy brazylijskiej przez inżyniera F. Pinto, ale największe wrażenie sprawiły wysiłki bogatego handlarza kauczuku Bernarda da Silva Ramos. Poświęcił on znaczny majątek i ostatnie lata swego życia po to, by umierając (1931) pozostawić swym rodakom dzieło, za-

wierające reprodukcje i tłumaczenia około 2800 napisów rzekomo fenickich i greckich. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że przy dokładniejszym zbadaniu napisy te okazały się fałszywkami. Kazimierz Ślaski, który wydał właśnie w Wydawnictwie Morskim (1969)

stwierdził, że w nauce brazylijskiej panuje zupełna zgodność opinii co do rzekomych napisów fenickich względnie greckich, znajdujących na terenie kraju. Zaden z nich nie jest autentyczny, jak również nie wiadomo o żadnym odkryciu archeologicznym z lat ostatnich, mogącym służyć na poparcie tezy o lądowaniu żeglarzy fenickich lub greckich na wybrzeżach

z żeglarzami ze „Smaragdowej Wyspy” — Irlandii. Niejasne wspomnienia o nich zachowały się być może w popularnej w wiekach średnich legendzie o św. Brendanie i innych irlandzkich podaniach. Za to więcej niż prawdopodobne, a zapewne jest, że do wybrzeży amerykańskich docierali w X-XI stuleciu skandynewscy Wikingowie, czego ślady znalazły się nie tylko w źródłach pisanych, lecz także w (niefałszowanych) wykopaliskach. Nic jednak nie wskazuje na to, by te pierwsze kontakty Ameryki z lądem europejskim miały mieć charakter ciągły.

„W literaturze naukowej, a zwłaszcza pseudonaukowej — powiada prof. Ślaski — istnieje kilka „żelaznych” tematów, wokół których na przestrzeni dziesięcioleci narasta wielotomowa literatura. Należy do nich na przykład zagadnienie Atlantyd, potworów morskich, życia na Marsie, biblijnego potopu, a także sprawa odkrycia Ameryki. Od chwili odkrycia dróg wodnych do Nowego Świata, pojawiały się różne próby zakwestionowania pierwszeństwa Krzysztofa Kolumba. Przez kilka stuleci operowały się one na mniej lub więcej fantastycznych domysłach, rozważanych głównie wśród wąskich kręgów ówczesnych inte-

lektualistów. Zasadniczą zmianę spowodowało udostępnienie w I połowie XIX w. wymownych źródeł, odnoszących się do wypraw żeglarzy skandynewskich. Publikacje te pojawiły się w dobie ogólnego rozwoju środków masowego przekazu, a zarazem zbiegły się ze wzrostem zainteresowania podaniami, cechującym epokę romantyzmu. Nic więc dziwnego, że dyskusje na owe tematy przeniosły się szybko z gabinetów naukowców na łamy prasy i publicystyki”.

Autor książki „Poprzednicy Kolumba” zdaje dokładne informacje o długotrwałych bojach, jakie toczyli i toczą wciąż ze sobą „kolumbiści” i „antykolumbiści”. W oparciu o szeroką, wielojęzyczną literaturę przedmiotu krytyczny historyk stara się oddzielać prawdę od fałszu, mistyfikację od autentyki, legendę od wiarygodnej relacji. Istotnie — są pewne ślady, które przemawiałyby za tym, że Europejczycy dotarli do lądu amerykańskiego przed Kolumbem, ślady, które przybierają jaskrawszą barwę w świetle odkrycia pochodzącej z pierwszej połowy XV wieku mapy z wyobrażeniem Vinlandu. Ale dotyczą one wciąż Skandynawów. Czyżby miało być gorzej z mieszkańcami krajów śródziemnomorskich? Prof. Ślaski z godną uwagi

wstrzeźmiłością żegluję pośród morza domysłów, hipotez i mistyfikacji, referuje stanowiska uczonych, argumenty i kontrargumenty. Woli powstrzymać się z wydanym sądem, niż orzec coś pośpiesznie...

„Odkrywcę Vinlandu byli jedynymi, o których możemy twierdzić z całą pewnością, że wyprzedzili karawale Kolumba na szlaku wodnym do Nowego Świata” — stwierdza autor. „Należy (...) mieć na uwadze, że chociaż Skandynawowie dotarli do Ameryki przed Kolumbem, a nawet podjęli próbe założenia tam kolonii europejskiej, to jednak wiadomości o tym odkryciu nie wpłynęły zasadniczo na kształtowanie się ówczesnego horyzontu geograficznego. Nie miało ono również głębszego znaczenia dla późniejszych dziejów zarówno Europy, jak i Ameryki. Podobnie zresztą przypuszczalne podróże Chifczyków do Alaski pozostały bez wpływu na rozwój krajów Dalekiego Wschodu i na losy samej ziemi amerykańskiej. Znaczenie podróży Krzysztofa Kolumba polega głównie na tym, że jego świadome przedświadczenie odkryło Nowy Świat dla ówczesnej nauki, a zarazem utworowało drogę dla ówczesnej kolonialnej państwa „antykolumbiści”.

JÓZEF GRZELAK

## Poprzednicy Kolumba

piękną książkę „Poprzednicy Kolumba”, dla uzyskania całkowitej pewności zwrócił się listownie do dyrektora Muzeum Narodowego Brazylii w Rio de Janeiro. „W odpowiedzi z 12 II 1967 r. — pisze autor — kierowniczka Sektora Archeologicznego Muzeum, pani Maria da Conceição de Moraes Coutinho,

Ameryki Południowej”. Podobnie przedstawia się sprawa z analogicznymi „odkryciami”, jakich wiele w Ameryce Północnej.

Przy bliższym zapoznaniu się z różnymi domysłami i hipotezami nieco bardziej prawdopodobna okazuje się możliwość istnienia kontaktów, lądu amerykańskiego





JOLANTA MACH

## Autoportret Orsona Wellesa

„Welles, podstarzała enfant terribile amerykańskiej kinematografii (...) jest dziś bardziej niż kiedykolwiek osamotnionym geniuszem.” „Welles może nigdy nie zrobić pełnego, tj. w pełni wykonanego i bezbłędnego dzieła sztuki filmowej... A jednak to niespożyte dziecię, ten Herkules, nieraz już wstrząsnął filmowym firmamentem i niewykluczone, że wstrząśnie nim znów.”

Powyższe cytaty, wybrane na chybił trafił z prac poświęconych Wellesowi — w danym wypadku krytyków Andrew Barrisa i Parkera Tylera — są przykładem sposobu, w jaki pisze się o Wellesie. „Osamotniony geniusz”, „Herkules” — te określenia powtarzają się najczęściej. Ostatnie dzieło Wellesa, „Falstaff”, ogłaśdam w kinie STYLOWY w obecności zaledwie kilkunastu

osób. Sprawił to mróz, czy wielkość (jak dalece przekraczająca ramy potocznego rozumienia, że aż odpychająca)?

Miejsce Wellesa w kinematografii, superlatywy, w których mówi się o artyście, uzasadnione są zwykle wywołaną przez niego rewolucją w dziedzinie formalnych środków kina. W istocie, powstały w 1941 roku „Obywatel Kane” antycypował to wszystko, że środki kształtowania czasu, przestrzeni i psychologii ludzkiej, które kino przejęło, zaczęło przejmować, po latach co najmniej piętnastu. A i tak „Kane” pozostaje pod wieloma względami wzorem w zasadzie niedoścignionym. Natomiast wątki myślowe twórczości Wellesa obdarzano, jak się zdaje, uwagą nieco mniej wnikliwą. Być może przyćmiwał je blask cudownie iskrzącej się, odkrywczej i nowatorskiej for-

my. Być może trudniej je było wyrazić na piśmie. Welles za pomocą formy, którą sam wynalazł, dokonuje tego w sposób doskonały, ujęta w słowa jego myśl karleje i brzmi nieomal banalnie. Nie dzieje się tak z winy myśli. Po prostu brak wśród krytyków mistrza, równie sprawnie działającego słowem, jak Welles włada obrazem i dźwiękiem filmowym.

Bodaj Georges Duhamel napisał w jednej z swoich książek, iż geniusz jest tym, kto mówi głośno to, o czym wszyscy mówią po cichu. Sformułowanie Duhamela zdaje się dobrze stosować do Wellesa. Dziś silniej niż w okresie, gdy nad nimi pracował, zdajemy sobie sprawę, że filmy Wellesa prócz form antycypują również treści, którymi mieli żyć ludzie w ciągu następnych trzydziestu lat.

### TŁO CZYLI SPOŁECZEŃSTWO

Kariera Wellesa jako kogoś, kto uświadamia drugim nurtu jacy ich lek, niepokój, troskę o los własny i o kierunek, w którym zmierza ten najlepszy ze światów — nie zaczęła się w filmie. Jak wiadomo 25-letni Welles wystartował na antenie radiowego teatru. 30. 8. 1938 r. nadane zostało słuchowisko we dług powieści fantastycznej H. G. Wellesa pt. „Wojna światów”, które reżyserował, Orsonowi Wellesowi, przyniosło natychmiastową sławę i z powodzeniem uległo niebawem panice.

Był to pozorowany reportaż. Zapowiedź wstępna poinformowała radiosłuchaczy o rozporządzeniu teatralnego przedstawienia, po czym przez dobrą chwilę sączyła się obojętna, rozryw-

kowa muzyka. Przerwano ją, aby podać prognozę pogody, wyłączono po raz drugi, aby zakomunikować, że w pobliżu Princeton w stanie New Jersey wylądował meteor z metalowego cylindra. Łądną zabił 1500 osób. Wewnątrz krył przybyszów z Marsa, zbrojnych w „promienie śmierci”.

Teraz muzyka coraz częściej ustępowała komunikatom o poczynaniach Marsjan. Coraz częściej oddawano głos reporterom, rozestającym oiby to w różne okolice Princeton. Proszono o komentarz uczonych, słowem, potoczyła się radiowa, reporterska „normalka”, pojawiająca się zawsze w wypadku ważnych zdarzeń. Kiedy dziś, po trzydziestu paru latach, przegląda się strony „The New York Times’a” z dnia po przedstawieniu — ogarnia zdumienie. Ulice, relacjonuje gazeta, były zablokowane przez pojazdy i tłum ludzi, którzy w obawie przed gazem zasłaniali sobie twarze mokrymi rękawicami. Posterunki policyjne oblegali rodzice, pragnący tutaj dowiedzieć się, jak zapewne bezpieczeństwo dzieciom. Wynoszono meble, potykano się o walizki. Ktoś słyszał w radio odezwę prezydenta, radzącego obywatelom opuszczać miasta.

Już wówczas, w numerze z 31. X. „The New York Times” potrafił rozsądnie wyjaśnić tę reakcję ludzi: psychoza wojenna, napięciem w Europie, którego traktat monachijski bynajmniej nie rozładował. Felietonista Heywood Brown nie sądził, „by coś podobnego mogło się zdarzyć jeszcze 4 czy 5 miesięcy temu. Bieg światowej historii oddziaływa — na psychikę narodu... Uzyskaliśmy laboratoryjny dowód, że pokój w Monachium zawisł nad naszymi głowami, jak chmura gradowa... Jeśli wielu zdrowych na umyśle obywateli uwiaryło, że Marsjanie zaskoczyli nas z nagłą, nie są ci obywatele tak głupi, na jakich wyglądają”.

Orson Welles ukazał się reporterom w poniedziałek, 31. X. nie ogolony, z oczyma zaczerwienionymi z bezsenności. Wyparł się zamiaru przestraszenia ludzi. Tylko na pytanie, czy nie powinien był stonować języka dramatu, odrzekł kaśliwie: „Nie, nie stroi się zbrodni w piękne słowa”.

### TOŻSAMOŚĆ JEDNOSTKI

Na takim tle — ludzi trwożliwych i łatwowiernych, zaczęło się gonitwa Wellesa za odpowiedzią na następne pytanie: kim jest człowiek?

Przed premierą „Obywatela

Kane’a” wrzało. Postępowa gazy sugerowały, że film będzie atakiem wymierzonym w potentata prasowego, Williama Randolpha Hearsta, zwanego „wielkim starcem prawicy”, za gorzalego przeciwnika roosveltowskiego New Deal’u. Tuż przed wejściem filmu na ekran Welles wystawił w teatrze w Nowym Jorku „Juliusza Cezara” w interpretacji wyrażającej antyfaszystowskiej, co dodatkową ożywiło nadzieje. W każdym razie prasa należąca do Hearsta z góry zapowiedziała bojkot i Wellesa i jego filmu.

Charles Foster Kane nie był Hearstem. Był natomiast człowiekiem, któremu osobiste zdolności, otrzymane w spadku „kapitał zakładowy” i może przysłowiowy lut szczęścia dały to wszystko, o czym marzą szaraczkowie. Nie zważając na cenę zdobywał ludzi, począwszy od najbliższych, żony, i kupował rzeczy, wśród których wspaniały pałac nie należał do najkosztowniejszych. Jednakże, napisze krytyk trafnie reasumując treść „Kane’a”, „wszystko zostało kupione, za wszystko zapłacone, nic nie zostało przeżyte — oto koniec”. (Sarris).

Nie byłoby zreczenie powiedzieć, że moral „Kane’a” brzmi, iż pieniądze nie dają szczęścia. Już poważniej — jak by proporcjonalnie w stosunku do wielkości dzieła, dźwięczy stwierdzenie, że chodzi o demaskację mitu powodzenia, słynnej amerykańskiej tzw. „success story” (opowieści o sukcesie). Kane w chwili śmierci szepece imię swoich dziecięcych saneczek, „Różyczka”, i trudno o surowsze, tragiczniejsze przeciwstawienie tego, kim się stał w życiu, społecznej pozycji, jaką sobie wywalczył — z tym, czego pragnął.

Syty dóbr materialnych obudzony powodzeniem, od wewnątrz dręczony głodem uczuciowym — dwa portrety Kane’a wyglądają równie przekonująco. Jest w filmie bardzo charakterystyczna i jak myślę, wiele wyjaśniająca w stanowisku Wellesa scena, w której lokaj pali saneczki; saneczki, które miały napis „Różyczka”. Gest ten oznacza, że żadna z osób na ekranie nigdy nie dowi się, czego dotyczyło ostatnie słowo umierającego. Kane umarł nadal sądzony będzie według tego, co miał i co zrobil.

Konflikt dwóch prawd rządzących wiedzą o człowieku, uprosimy, wewnętrznej — osobistej i zewnętrznej — społecznej powraca w zrealizowanym w 1955 roku „Panu Arkadynie”. Pod wieloma względami „Arkadyn” wydaje się negatywową odbitką „Kane’a”. Wątek fabularny biegnie w o-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## Życiorysy

1.

Po jednej stronie ulicy fabryka. Po drugiej — domy. Wysokie, z czerwonej cegły. Mieszkają w nich robotnicy fabryki — tej z drugiej strony ulicy, jednej z największych w mieście. Trzeba minąć dawny fabrykancki pałac i pójść trochę dalej, aby zobaczyć nad białymi murami bielnika wielki neon, płonący nocą niebieskim i czerwonymi literami: Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego — Poltex.

— Jeśli chcesz poznać życiorys typowego włóknarza, to musisz pójść do „Marchlewskiego” — powiedział kiedyś Tadeusz.

Jestem na pustawej ulicy, na której z jednej strony jarzą się światłami okien we wczesnym wiosennym zmroku mury fabryki, a z drugiej — przyfabryczne domy. W fabryce mi powiedzieli:

— Najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy z Marią Malinowską.

Dzwonię do drzwi, ozdobionych mosiężną

wizytówką. Otwiera kobieta zaszpana i zaskoczona. Nikogo nie oczekiwała.

— Bardzo przepraszam — mówię — idę na nocną zmianę. Położyłam się trochę. Wróciłam od syna. Chłopakowi zachciało się żenić.

Widać nie jest tym zachwycona i nie bardzo wie, czego od niej może chcieć wieczorną wizytę składający nieznajomy. Wyjaśniam cel tak późnego najścia.

— Typowy życiorys? Cóż ja mogę powiedzieć?

Chwila zadumy i nagle decyzja.

— Nie! Nie mam nic do powiedzenia. W końcu nie ja jedna pracuję we włókiennictwie. Już radio robiło z nami wywiad. Te raz Argentyńczyk ze szkoły filmowej kręcił u nas film dyplomowy. Wie pan, ile z tym kłopotu? Niech pan się na mnie nie gniewa i poszuka kogoś innego.

2.

Tadeusz strzepał kurz z zielonego sukna, które przykrywało długi konferencyjny stół.

— Remont. Rozumiesz? Kłeska. Od tego nigdzie nie można uciec, a ja nie cierpię kurzu.

Potem wyciągnął z kąta rulon wykresów i rozłożył na zakurzonej suknie.

— Oto masz obraz przemysłu lekkiego — powiedział, pokazując czarne, czerwone i niebieskie linie nawzajem krzyżujące się i mozolnie wspinające się do góry. — Co czwarty pracujący nie ma wykształcenia podstawowego. Półtora procent pracujących ma wykształcenie wyższe, 8,5 proc. — średnie, a 14,8 proc. — zasadnicze zawodowe.

Wprawdzie co roku przeszło 2 tys. osób uzupełnia wykształcenie podstawowe, ale pamiętając, że przemysł lekki jest tuż przed modernizacją i rekonstrukcją, to nie załatwia sprawy. Tu będą potrzebni fachowcy.

Miałem okazję porównać później te dane z innymi. Jeżeli ogółem w polskim przemyśle wśród zatrudnionych było 2,3 proc. z wyższym wykształceniem, to przemysł lekki legitymował się półtora procentem. W całym przemyśle pracuje blisko 13 proc. ludzi ze średnim wykształceniem, a w przemyśle lekkim — 8,5 proc. Przy czym w Łodzi — centrum przemysłu lekkiego — obraz jest jeszcze gorszy. Tutaj nawet wśród pracowników umysłowych 43,7 proc. ma tylko wykształcenie podstawowe.

— Dlaczego? — zapytałem Tadeusza.

— Właśnie — odpowiedział — wszyscy się dziwią. Niektórzy podkreślają, że przecież w Łodzi niemal na co drugiej ulicy jest szkoła. Są szkoły dla pracujących, a w fabrykach zachęca się ludzi do nauki. Musisz jednak poznać typowy życiorys włóknarza. To dużo wyjaśnia.

Ale Maria Malinowska miała dość filmów i dziennikarzy.

— Takich jak ja w Łodzi jest dużo.

3.

Urodziłem się w Klonowcu Szlacheckim w powiecie kutnowskim w 1926 roku. Mój ojciec pracował w tamtejszym majątku ziemskim. Byłem trzecim dzieckiem — najmłodszym. Miałem pół roku, kiedy rodzice zdecydowali się przenieść do Łodzi. Nie umiem dziś powiedzieć, co o tym zdecydowało, ale sądzę, że ojcu trudno było utrzy-



bu podobnym torem: tam i tu znajduje się człowiek, który zechciał poznać drugiego. W „Kane'ie” jest to reporter inspirowany przez słowo „Różyczka”, w „Arkadinie” koleje losu tytułowego bohatera bada narzeczony jego córki. Jeśli jednak „Kane” jest filmem głęboko tragicznym, „Arkadin” tryska sardonicznym humorem. Jeśli dobro było tym, co ukryte nosił w sobie Kane, Arkadin chowa zło. Jeśli pozory obróciły się przeciw Kane'owi, to za Arkadinem, odwrotnie, świadczą. Były gaster dziś rysuje się jako kochający ojciec i filantrop.

Zeby dotknąć sprzeczności, które nurtują samego człowieka, Welles sięgnął do Szekspira. Wiadomo, że Welles prócz sławy reżysera, cieszy się również sławą wielkiego aktora. Role szekspirowskie grał wielokrotnie w teatrze, na ekran przeniósł „Makbeta”, „Otellę”, ostatnio „Falstaffa”.

#### FALSTAFF — ALTER EGO

Z taką interpretacją Otella (która dalej brzmi: Wellesa jak magnes zafarował bohatera mający z nim uczuciowo tak wiele wspólnego...) kojarzy się bajka o skorpionie i żabie, opowiedziana przez Arkadina. Skorpion, nie umiający pływać, pragnął na grzbiecie żaby przeprawić się przez strumień. Nie, powiedziała żaba, twoje żądło razi śmiercią. Ale, replikował skorpion, jeśli cię zabije, sam utonę, po co więc miałbym cię kąsać? Żaba, przekonana, wzięła skorpiona na grzbiet. Kiedy ją użądlił, zdążyła zapytać, czemu to uczynił. „Bo taka jest moja natura” — odpowiedział skorpion i była to jedyna odpowiedź, jaką mógł dać. Krytyka uważa tę bajkę za parabolę postępowania Wellesa. Skorpion uosabia jego, żaba — producentów, którzy na ogół tracą pieniądze włożone w dzieła Wellesa. Myślę, że parabola utrzyma się również, gdy pod żabę podłożymy nasze postaci — widzów, a także kiedy żabami będą postaci z otoczenia Falstaffa.

Wydaje się naturalne, że indywidualność tak potężna, jak Wellesa — i mająca odpowiedź



nik w posturze grubasa i wielkoluda — musiała zrobić film o sobie. Welles zajmuje dużo miejsca w przestrzeni i mocno waży w sztuce. Falstaff także daje się zauważyć, gdziekolwiek się pojawi. Występuje w różnych sztukach Szekspira, w dramatach o Henryku IV i Henryku V, i w komedii „Wesołe kumoszki z Windsoru”. Welles fragmenty tych sztuk złączył w całość, w nową opowieść o Falstaffie. Nie jest ona spójna i zapewne nie może być inna. Spotkanie z Wellem — Falstaffem odsłania tym, którzy się z nim zetknęli — ich samych. Krzywe zwierciadło falstaffowej filozofii, wierności, drwiny odbija w zmienionych proporcjach ludzkie czyny i motywy, które ludźmi kierują. Po czym Falstaff znika, a życie własną koleją toczy się dalej.

Taka właśnie jest rola Wellesa — Falstaffa. Budzić świadomość, wiedzę ludzi o sobie, bez dotykającego wpływu na bieg rzeczy.

Są w filmie obrazy niezwykle piękności, uporcezywie trwające w pamięci. Dla mnie należy do takich obraz Falstaffa kicającego po lasku: z piakami miodych drzewek kontrastuje opasie cielsko, osadzone na nogach grubszych niż palniki. Między drzewkami przesuwają się smukły Henryk V i jego kompani — niby przywiązani do Falstaffa, niby nie mogący się bez niego obyć, a przecież pogardzający Falstaffem. I następny obraz: portret Falstaffa zwróconego ku kamerze — widzowi. Z tułstą, nalaną twarzą wylaniają się cudowne, mądre oczy, wszystko rozumiejące, wszystko wiedzące.

Film ma chłód śmierci, klimat oderwania, oglądania wydarzenia bez przejmowania się nim, co unaczynia kruchość, miłość rzeczy. Bitwa między wojskami Mortimera i Henryka dorównuje meastrią najwspanialszym bitwom w kinie, bitwom które robił wielki Eisenstein. Zasadą obowiązującą u Eisensteina było jednak wciągnięcie widza w akcję. Tu, przeciwnie, nie obchodzi nas, komu przypadnie zwycięstwo.

Jak u Szekspira „belkocząc o zielonych polach” Sir John Falstaff umiera pod koniec filmu. Umiera, odrzucony przez Henryka, z którego uczynił świadomego siebie człowieka... Gdzież więc analogia z bajką o skorpionie i żabie, skoro ginie nie żaba, ale skorpion? Skorpion, który odszedł, dopiął celu. Zabił w nas to, co myślnie i fałszywe. Z Henryka wydobyl, nam pomaga wydobyc prawdę o sobie — dlatego jest ten film tak rozdzierający smutny i tak oczyszczający zarazem.

JOLANTA MACH

#### STANISŁAW CIEŚLAK

## W poszukiwaniu miłości

Anna Markowa jest zapoznaną pisarką współczesną. Wydała dotychczas tom opowiadań „Akwarium”, zbiór wierszy „Czas bez tytułu”, dwie powieści: „Wieczory” i „Wezo rajsze”. Książki te zostały poważone przez krytykę. Pisało się o nich przychylnie, podkreślano zwłaszcza własny ton prozy Markowej, ciekawą tematykę. Pisarka ciekawie mówiła o miłości, wierności, przyjaźni, ambicji. Powieść pt. „Wieczory” zdobyła pierwszą nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Związku Literatów Polskich i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu. Został w niej przedstawiony, w interesującej formie artystycznej, obraz stosunków społecznych na Opolszczyźnie na tle ważnych historycznie przemian.

„Bilet w jedną stronę” jest najnowsza pozycja w dorobku artystycznym Markowej, udo stępniona przez Wydawnictwo Łódzkie. Powieść tę poświęciła trudnemu tematowi współczesnemu, miłości, o której literatura współczesna woli raczej milczeć, albo jest wobec niej zupełnie nieśmiała. Markowa podobnie jak Jarosław Iwaszkiewicz w „Kochankach z Marony”, jak Anka Kowalska w interesującej powieści „Pestka”, drąży ten trudny temat i osiąga godny pochwały rezultat artystyczny.

Podobnie jak w literaturze, dzieje się na co dzień. Jest bowiem coś paradoksalnego w współczesnej umysłowości i uczuciowości. Wstydziny się uczuć tych małych i tych wielkich. Wydaje się, że ostatnich zaczyna po prostu brakować.

Nie kochamy już należycie samych siebie, co nie ułatwia nam znowu szacunku wobec bliźniego. Lubimy za to wygodę, cenimy swobodę, odmieniamy przez wszystkie przydatki wolność i tolerujemy się wzajemnie. Jesteśmy przy tym letni, więc ani za zimni,



ani za gorący. Nie stać nas na większe odczucia wobec spraw wielkich. Powszednie jest wszystko, staje się oczywistością. Dorosłemu chyba, przeżywa my jakiś psychiczny kryzys wzrostu. Miłość, ta zwykła między dwójgim ludźmi — to już tylko trochę szyderczych zaklęć, w najlepszym wypad

ku nieco upokorzenia. Poza tym podpatrywanie, przymianie, kosztowanie, próba, małżeńskie prokreacja. Pamiętamy jeszcze starą prawdę o miłości, która wszystko zwycięża, ale wywołuje ona w nas uśmiech politowania.

Resztę okrywa wstyd lub zawsze wulgarny seks, związany z różnymi wynaturzeniami psychicznymi. Mówimy o tych sprawach paroma koślawymi słowami. Zanika kultura uczuć i żenująco ubogi jest jej słownik, jakby wszystko zostało już powiedziane, wyeksploatowane.

W swej powieści Markowa nie mówi o tych sprawach wprost. Ona je delikatnie podpowiada, dyskutuje z nimi. Miłość w „Bilecie w jedną stronę” przewija się przez wszystkie kartki. Przynosi ból, upokorzenie, nigdy nie jest zwycięska, nigdy nie jest wielka. Pozostaje więc tylko marzenie, tęsknota, która zmusza do podejmowania coraz to innych prób, by ją pochwycić, zrealizować, trwać z nią.

Powieść składa się z pięciu szkiców o pięciu mężczyznach, obok których Marta, narratorka i bohaterka sprawdza możliwość swojej i ich miłości, potwierdza rozczarowania, lęki, nadzieje, pragnienia, szuka sensu miłości.

Akcja powieści rozgrywa się w czasie „przyszłym — doko

ny”, to jednak powieści Markowej trzeba przyznać raczej eksperymentu i to eksperymentu udanego. Literatura współczesna na uciekającą się tak często do różnego rodzaju zabiegów formalnych zdołała nas przyzwyczaić do cierpliwości, wytrwałości, nauczyła pokory na wet wobec belkotu. Rzecz, że ciężko na czym innym polega. Chodzi o to, by pisarz umiał znaleźć kontakt z czytelnikiem, by ten błędnie po mean drach jego pomysłu, mógł przynajmniej od czasu do czasu zobaczyć drogę, niech będzie wyboista, by wyniósł z tego błędzenia nie tylko udrętkę, ale przeżył również chwile satysfakcji, zadumy, refleksji, żeby mu się ten trud opłacił.

Markowa nie szczędzi nam tego rodzaju przyjemności. Marta, a więc bohaterka i narratorka powieści jest dziwną karką, pracuje w jakimś piśmie i postanawia napisać powieść właśnie o swoich doświadczeniach, przeżyciach, obserwacjach. Zmagając się z opornością słowa, wybrzydza na nie, wybiera, odrzuca, planuje schemat kompozycyjny, zaciera raz obrany trop, zarysowuje inny, by „dać odpowiednie rzeczy słowo”. Pisze więc powieść o powieści, dyskutuje na temat własnego warsztatu twórczego. Utwór nie na tym nie traci, jego struktura pochłania naszą uwagę. Narracja toczy się wartko, pisarka umie jętnie rozkłada akcenty, stopniuje napięcia. Język jest żywy, bez patosu. Dzieje się tak dlatego, że i narratorka daleka jest od wzniosłości — ani zimna, ani gorąca. Dąży się po bezdrożach miłości, skazanej niedoskonałością. Język ten wyjątkowo pasuje do egzystencjalnej sytuacji bohaterki, która wyrzuca sobie często swoje ograniczenia, zdumiewa się własnym sposobem odczuwania i reakcji lub oskarża się wprost o niekwestionację. Mówi ona językiem swego środowiska. Jest to język mówiony elity intelektualnej. Zdanie Markowej bywa celne, dialog ostry. Towarzyszy im zwykły dyskretna ironia.

„Bilet w jedną stronę” jest ważną pozycją w dorobku pisarskim Markowej. Książka ta udowodniła, że pisarkę stać na śmiałość eksperymentu w sposobie prowadzenia narracji, posługiwania się czasem, że mimo to potrafi Markowa znaleźć porozumienie z czytelnikiem. Powieść ta jest również jedną z interesujących pozycji beletrystycznych o trudnym i odpowiedzialnym temacie miłości.

Anna Markowa — „Bilet w jedną stronę”. Wyd. Łódzkie, Łódź 1970 r., str. 216

nego dyrektora. Nazywał się Gros. Imienia nie pamiętam. Poprosiłem, aby przeniósł mnie do przedalini. Przez kilka lat byłem praktykantem. W fabryce poznałem Danutę. Moją żonę.

Żona pochodzi z włóknarskiej rodziny. Jej ojciec i matka pracowali we włókienniczych fabrykach. Matka poszła do fabryki, gdy tylko skończyła 15 lat. Została prządka. Po wojnie oboje pracowali razem w dawnej fabryce Biedermana, która wówczas nazywała się Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 8. Dziś ZPB im. Szymona Harnama. Ojciec mojej żony też był przedaliniem. Ona poszła do fabryki jako jego uczennica. Był taki zwyczaj, że ojciec uczył syna lub córkę fachu. Dziś robi to szkoła.

Pobraliśmy się w 1949 roku. Zamieszkaaliśmy u moich rodziców. Później dostaliśmy fabryczne mieszkanie. Trzydzieści lat temu. Też na ulicy Smugowej. W rok po ślubie poszedłem do szkoły mistrzów. Po roku nauki wróciłem do przedalini i od tej pory jestem mistrzem. W fabryce zachęcano mnie do ukończenia 7 klasy. Moja żona jest brakarzem przędzy.

4.

Całe życie na ulicy Smugowej — pomyślałem i poszedłem odszukać autora życiorysu. Wydał mi się typowym. Tak właśnie ludzie przychodzili do włókiennictwa. Dla wie lu jest to zawód ich ojców i matek. Włóknarzy stawali się któregoś dnia. Uczyli się włókiennictwa praktycznie. Wykazywali zainteresowanie, zdolności — awansowali. Zostawali mistrzami. Jeśli więc statystyka

kwalifikacji w przemyśle lekkim nie daje lepszego obrazu, jeśli pokazuje, że przemysł ten pod tym względem pozostaje w tyle za innymi, to przyczyna tego leży po trosze w tradycji, w przeszłości, kiedy nie trzeba było świadectwa szkoły przyzakładowej albo technikum, aby zostać włókniarzem.

Poszedłem na ulicę Smugową. Szary mur fabryki. Potem działka ogrodnicza i czynszowy dom. Smugowa 25, a mnie powiedziano, że Władysław Antezak mieszka przy Smugowej nr 19. Dostrzegłem między murem fabrycznym i siatką działki ogrodniczej wąskie przejście z jednej strony obsadzone krzakami. Trzech młodzieńców „obeigają” bu telkę „patykiem pisanego”.

— Gdzie tu może być ulica Smugowa nr 19? — pytam.

— Smugowa jest tu — wyjaśnia najstarszy — nr 19 to będą te trzy domki fabryczne zaraz za murem.

Władysław Antezak mieszka w trzecim. Dwa małe pokoiki i kuchnia. Piesek zajadłe szuka na moje powitanie. Gospodarz lada chwila przyjdzie. Kończy pracę, a z fabryki ma niedaleko.

Siedzimy nad butelką piwa i rozmawiamy. Mam właściwie jedno pytanie.

— Jaką drogą pójdą synowie?

— Starszy, też Władysław jak ojciec i dziad, odbywa służbę wojskową. Skończył szkołę podstawową, pochoził dwa lata do liceum i odciechało mu się nauki. Poszedł do pracy w WZPB 1 Maja. Został frezerem. Pisał niedawno, że po powrocie chce się dalej uczyć. Zmadrzał widać w wojsku.

— A młodszy?  
— Marian! — woła w głąb mieszkania pan Władysław.

Wychodzi chłopak i staje zmieszany.

— Czym chcesz być? — pyta ojciec.

— Skończę szkołę i pójdę do technikum — mówi chłopiec.

Jest uczniem szkoły przyzakładowej ZM im. J. Strzelczyka. Uczy się zawodu tokarza, ale myśli o dalszej nauce.

— Może politechnika? — podsuwam.

— Może — uśmiecha się — ale na to jest jeszcze czas.

— Tak — konkluduje ojciec — dziś trzeba mieć szkołę. Do przedalini przychodzi dziewczęta nawet po maturze. Potem liczy się im to w punktach przy przyjęciu na wyższą uczelnię. Niektóre zostają w fabryce.

5.

— Pod koniec stulecia — powiedział zapytany o zdanie futurolog — Łódź będzie liczyła już milion mieszkańców i zachowa cen tralną pozycję w przemyśle włókienniczym. Będzie on dysponował bogatym i sprawnym zapleczem naukowym. Będzie w mieście silny przemysł maszynowy, elektrotechniczny i precyzyjny.

Czy tak będzie rzeczywistość? Futurologia buduje obraz przyszłości w oparciu o aktualnie rysujące się kierunki rozwoju. A dla przemysłu lekkiego w tym dla włókiennictwa, to przede wszystkim modernizacja, wymiana parku maszynowego, nowoczesne technologie i automatyka. W założeniach planu na nadchodzącą pięćdziesiątkę mówi się o zwiększeniu produkcji w 75 proc. drogą wzrostu wydajności pracy. Wymagać to będzie wysokiej kwalifikacji, sporych umiejętności organizacyjnych. I nie tylko wśród ludzi, od których bezpośrednio zależy będzie ten przyrost produkcji, ale również i

od tych, którzy mają stwarzać takie warunki.

Obecnie wśród dyrektorów fabryk podległych MPL wyższe wykształcenie posiada 55,4 proc., wśród ich zastępców, 67 proc., wśród głównych księgowych — 24,7 proc., a wśród kierowników zakładowych laboratoriów — 63 proc. Lansuje się pogląd, że za daniem inżynierów jest tworzyć nową technikę, zadaniem techników — wcielić ją w życie.

— Taka jest teoria — twierdzi Tadeusz. — U nas słusznie wiele się mówi o wydajności maszyn, oblicza się czas ich wykorzystania, a np. o wiele droższym kapitałem czasu inżyniera szafuje się bez specjalnych wyrzutów sumienia. Czy to po gospodarstwu?

Pod koniec nadchodzącej pięćdziesiątki w MPL będzie pracowało 13 tys. inżynierów. Nastąpi zatem wzrost prawie trzykrotny, bo aktualnie jest ich 4,6 tys. Zwiększy się stan techników i ekonomistów. Może pojawią się tak oczekiwani organizatorzy produkcji. I wbrew sceptykom będzie to w przypadku Łodzi możliwe właśnie dzięki tak uślej trosce o zmianę monostuktury, o pomoc w rozwoju innych gałęzi gospodarki.

Kiedy za lat dziesięć ktoś będzie chciał poznać typowy życiorys włókniarza, to będzie to już życiorys zupełnie inny. I być może inżynier Marian Antezak — syn włóknarki i włókniarza posłuży za przykład typowej drogi — przez szkołę przyzakładową, technikum i politechnikę.

— Ze ma być metalowcem?

— No to co? W nowoczesnym włókiennictwie obok technologów włókiennictwa będą potrzebni konstruktorzy, mechanicy, elektrycy i automatycy.



## Telewizyjne podróże

Zyjemy w wieku wielkiej ciekawości świata. W czasach Kolumba i Vasco da Gama ciekawość ta była do meną jednostek. Mieszkańcy Europy poznawali inne, zamorskie kontynenty oczyma śmiałków, którzy podejmowali podróże odkrywcze. Były to wyprawy ze względu na ówczesną technikę nawigacyjną długotrwałe i uciążliwe. Krzysztof Kolumb płynął przez ocean do wyspy San Salvador siedemdziesiąt dni. Jeszcze Norwid w 1852 roku podróżował do Nowego Jorku przez koszmarnie wlokące się 62 dni!

Dziś dzięki rozwojowi techniki świat się skurczył. Luksusowe statki pasażerskie przepływają Atlantyk w pięć dni, a odrzutowiec komunikacyjny przebywa tę

trasę w osiem godzin. Istnieją również czynniki integrujące życie w świecie współczesnym. Dziennikarze, artyści, naukowcy, pracownicy handlu z wszystkich zakątków globu krążą po tej naszej planecie permanentnie, przecinając ją wzdłuż i wszerz.

Nie wspominam celowo tu rystyki, gdyż w naszych krajowych warunkach ogranicza się ona w zasadzie do kontynentu europejskiego. Ale wiedzy o życiu na innych kontynentach jesteśmy spragnieni. I tu w sukcesie przychodzi nam telewizja. Zdarza nam się oglądać na małym ekranie, bezpośrednio transmisje satelitarne z innych części świata. Oglądaliśmy w ten sposób Olimpiadę w Mexico Ci-

ty, start i lądowanie seledonautów amerykańskich. Ta jednak forma transmisji, która w niedalekiej przyszłości stanie się nagminna, należy jeszcze do rzadkości.

Podróżowanie po świecie, jak to się zwykle mówi: bez wiz i dewiz, ułatwia nam choćby Dziennik Telewizyjny, Monitor czy Światowid, operując szczerze te matami filmowymi z różnych, egzotycznych nieraz krajów. Ale te relacje mają charakter obiektywny, nie osobisty. Świat oglądany w ten sposób jest wciąż jeszcze daleki, trudno osiągalny, lub wręcz nieosiągalny.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z cyklicznym programem Klubu Sześciu Kontynentów. W klubie tym spotykają się przy kawie ci szczęśliwcy, których obowiązki służbowe rzuciły w odległe zakątki naszego globu. Przewijają się tu pracownicy handlu zagranicznego, marynarze, inżynierowie wysłani za granicę w ramach „eksportu mózgow” itd. W atmosferze bezpretensjonalnej rozmowy dzielą się swoimi wrażeniami i ob-

serwacjami, dotyczącą spraw drobnych, obyczajowych, stroną na ogół od wielkiej polityki.

Poznanie świata oczyma tych ludzi ma oczywiście charakter cząstkowy, fragmentaryczny, nie dotyczy wielkiej polityki, ani węzłowych problemów ekonomicznych, a przecież przyjemnie jest uczestniczyć w kolejnych sesjach Klubu Sześciu Kontynentów.

Ostatnio oglądałem program Klubu poświęcony Japonii. O kraju tym coraz głośniejsze. Pracowity i pełen inicjatywy naród japoński efektami pracy swoich rąk i mózgow obsługuje cały świat. Dźwignął się po straszliwym upadku, do jakiego doprowadziła go w ostatniej wojnie rządząca wówczas samurajska szlachta. Dziś przewodzący swego czasu tej szlachty „syn nieba” — cesarz Hirohito studiując biologię i wydając na ten temat książki. Zaś naród nie myśli o podbojach i ekspansji, lecz o zblźnianiu ran wojennych, które w tym kraju były chyba najgłębsze, i o wypracowaniu sobie ludzkich warunków życia.

Przed kamerami zasiadło towarzystwo bardzo różno-

rodne: małżeństwo japońskie — polskie zamieszkałe w Tokio, z małym wścibskim chłopczykiem będącym owocem tego związku, delegacja Milicji Obywatelskiej, która bawiła na kongresie ruchu drogowego w Japonii, z przemiłą mistrzynią — dyrygentem ruchu sierżantem Elżbietą Bek, dziennikarka „Interpressu” — świadek otwarcia wystawy światowej Expo 70 w Osaka, oraz reżyser Andrzej Wajda. Obecny był tylko poprzez swoje filmy nakręcone w Japonii red. Olgierd Budrewicz, czołowy polski oblaźwiwiat.

Muszę przyznać, że dzięki rozmowom przed kamerami zrewidowałem pewne obojętne poglądy o Japonii. Ot, choćby ten o wspaniałej stolicy kraju — Tokio. Widoki tego miasta oglądaliśmy często w okresie Olimpiady w 1964 roku i później. Zawrota głowy dostaje się na widok wielopoziomych skrzyżowań szerokich wstęg asfaltowych — jezdnii, po których suną niezliczone ilości samochodów. Nie mniej imponujące są potężne gmachy, zbudowane w najnowocześniejszym euro-amerykańskim stylu, całe ze szkła i aluminium.

To wszystko oglądaliśmy na filmach Budrewicza.

Łącznie z supernowoczesnymi budowlami wzniesionymi specjalnie w związku z Expo w Osace. Ale filmy te pozwoliły nam zajrzeć także poza tę wzbudzącą zażdrość fasadę 11-milionowego miasta. Ujrzyliśmy jego zabudowę od strony wód za toki, drewniane slumsy, tułące się bezładnie do spadzzi sięgo brzegu. Tu nie ma już luksusu, ani nawet przeciętnego standardu życiowego. Jeśli dodamy, że jedna trzecia tylko tego urbanistyczne go kolosa jest skanalizowana, a ścieki spływają wprost do rzek i kanałów, wówczas obraz wspaniałe rozbudowane ulic centralnych ulega drastycznemu uzupełnieniu.

Dzięki rozmowcom w Klubie dane nam było wejść do japońskich domów mieszkalnych, dowiedzieć się czegoś więcej o tym dzielnym narodzie, który w tak marlowniczy sposób łączy elementy europejskiej cywilizacji ze swym azjatyckim folklorem.

Doprawdy, pouczające i przyjemne są podróże telewizyjne po świecie, aranzowane dla nas przez Klub Sześciu Kontynentów!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

I znów pojawiła się w Łodzi Międzynarodowa Rewia na Lodzie — „Holiday on Ice”. Starzy znajomi, występują tu po raz bodajże piąty i wbrew teorii, że „wielki show” made in USA jest gatunkiem u nas niepopularnym, Hala Sportowa wypełniona jest po brzegi, a zaparkowane na zewnątrz autokary noszą znaki rejestracyjne kilku województw.

„Holiday on Ice” to jedyna w swoim rodzaju impreza. Olbrzymie przedsiębiorstwo rozrywkowe rodem z Ameryki, o tyle międzynarodowe, że zatrudnia artystów z około 20 krajów świata, a rozmiary tego przedsięwzięcia pozwalają jego organizatorom na jednoczesne wysyłanie różnych zespołów do różnych krajów. Ten gigantyczny koncert rozrywkowy opanował wszystkie kontynenty, a jeśli trzeba, to podróżuje nawet z własnym sztucznym lodowiskiem.

Mając tak rozległe ambicje „Holiday” musiała przekroczyć barierę narodowych i regionalnych gustów i dać rozrywkę, która będzie się podobać wszystkim bez względu na szerokość geograficzną. Temu celowi służy przede wszyst-

TERESA WOJCIECHOWSKA

## Towar czy sztuka?

kim różnorodność repertuaru. Jest to pokaz łyżwiarstwa i baletu, jest to cyrk i pantomima. We wszystkich tych gatunkach prezentuje się rzemiosło doprowadzone do perfekcji, technikę, w której koszty się nie liczą. Są więc efekty świetlne z tysięcy migoczących żarówek, są obrazy z rzutnika, są efektowne wybuchy magnetyzacji, mgła unosząca się nad lodowiskiem, są sztuczne

ognie i różne inne figle pirotechniczne. Są przepiękne i drogie kostiumy, efektowne dekoracje, przy dużej pomysłowości, w gruncie rzeczy bardzo proste.

Porównując tegoroczne występy rewi lodowej z poprzednimi, można by wnioskować, że organizatorzy udoskonalają stronę inscenizacyjną i techniczną, kładąc większy nacisk na prezentację znanych solistów,

rezygnując w pewnym stopniu z masowości widowiska, czynią je bardziej kameralnym. Ale być może to kwestia przypadku, być może spośród kilku aktualnie występujących zespołów przysłano do nas właśnie ten bardziej kameralny.

Jak się wydaje, ós program stanowią trzy podstawowe numery baletowe: „Valse Magnifique”, „Legenda o Królu Arturze i Rycarzach Okrągłego Stołu” oraz „Protest”. „Walc” jest stylowym widowiskiem baletowym, frapującym głównie pięknymi strojami i efektownymi salonowymi dekoracjami. W tym małym, czym widowisku zabrakło jednak lekkości i wdzięku wiedeńskiego walca, atmosfery, jaka mu towarzyszyła. Z wyjątkiem może pary Szramków wykonawcy po prostu nie czują tego stylu, tej epoki. Znakomicie natomiast czują się w „Proteście” — tańcu typowo współczesnym, podobno mającym obrazować protest części amerykańskiej młodzieży przeciwko bezsensowności życia na Zachodzie. Taniec ten jest bardzo interesujący i dobrze wykonany, na tle corps de ballet wybijają się solistka — Holenderka Joan Haanappel.

„Legenda o Królu Arturze” — trochę chyba odstająca od całości repertuaru, to znów stylowe widowisko, oparte na angielskim podaniu z VI wieku, mniej znanej nam epoki. Jest w tej naiwnej historii sporo dobrego baletu, interesującej szermierki (na lodzie), są zle duchy, czary, i efekty dymno-pirotechniczne.

W ostatnich latach „Holiday on Ice” wzbogaciła się o kilka nazwisk znanych łyżwiarzy, nazwisk światowej marki. Niektórych znamy z ekranu telewizyjnego z okresu kiedy jako amatorzy uczestniczyli w mistrzostwach Europy czy świata. Jest więc Holenderka Sjouke Dijkstra 3-krotna mistrzyni świata, jest czechosłowacka para Jan i Bohunka Szramkowie, jest angielska para Bernard Ford i Diana Towler, a także Norweg Per Larsen (Kjollerberg), młodziki Australijczyk David Salder i inni. Ich popisy stanowią na pewno największą atrakcję rewi, bo to oczywiście znakomici łyżwiarze i pokazują rzemiosło wysokiej klasy. My jednak oglądaliśmy ich na mistrzostwach i wiemy, że w rewi nie wykorzystali nawet części swych możliwości i umie-

jętności. Szczególne różczarowanie przynoszą — z tego punktu widzenia — popisy Ford-Towler.

Zabawne i pomysłowe są numery cyrkowe, wysoką klasę prezentują w akrobacjach bracia Maxwell, doskonałe efekty dają trickowe numery Jimmiego Peacocka.

Muzyka mechaniczna — prezentuje wysoki kunszt techniczny, ale również i ciekawe układy muzyczne. Zręcznie tu zresztą umiędzynarodowiono motywy muzyczne: angielski song, francuska piosenka, amerykańskie rytmy. Na początku programu wydawało mi się, że słyszę jakieś frazy „Zbójnickiego”.

Wielki koncert rozrywkowy „Holiday on Ice” jest też wielkim biznesem i jako taki wie, że dobry towar jest gwarancją powodzenia, że klienta nie wolno nabierać, bo to się nie opłaca. Więc nie ma wielkiej sztuki, ale jest dobry towar, który ludzie chętnie kupują. A nam, którzy lubimy rozrywkę ambitną i intelektualną, od czasu do czasu przydaje się trochę takiej odintelektualizowanej atmosfery.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Przed kilkunastu laty premiera filmu pt. „BUNTOWNIK BEZ POWODU” byłaby wydarzeniem sezonu, dziś film ten wszedł na ekrany naszych kin cicho, a nazwisko aktora kreującego tytułową rolę, cętemu pokoleniu najczystszych gości kinowych widowni, nie mówi już nic, a przynajmniej niewiele. Trudno niemal uwierzyć, że minęło już piętnaście lat od dnia, gdy zginął w wypadku samochodowym Ja-

mes Dean, aktor niezwykły, którego publiczność poznała w trzech rolach uznana za najwybitniejszą indywidualność najmłodszego aktorskiego pokolenia światowego kina lat pięćdziesiątych, aktor, którego usiłowało naśladować wielu, lecz tylko jednego uznano za autentycznego partnera. Nazwiska Jamesa Deana i Zbigniewa Cybulskiego kojarzone wielokrotnie. Gdy dziś z dystansu lat pa-

trzymy na młodzieńcze role tych obu aktorów, wyczuwamy w nich ten sam ton niepokoju i wrażliwości, ten sam rytm obecności i bycia. Byli z tej samej gliny, choć tak wiele ich różniło i tak różne racje warunkowały ich ekranowe istnienia.

Publiczność polska poznała przed laty Deana w filmach „Na wschód od Edenu” i „Olbrzym”. Obecne spotkanie jest możliwością konfrontacji mitu z jego bohaterem. Kult, jakim młodzież amerykańska otoczyła Jamesa Deana po jego śmierci, tłumaczy się tym filmem szczególnie jasno. Zjawiał się na ekranach chłopak, który był zaprzeczeniem wszystkiego tego, co określało silnego, zadowolonego z siebie młodego Amerykanina, przed którym życie stoi otworem, który pokona wszystkie przeszkody. Zjawiał się chłopak zbuntowany przeciw światu dorosłych, a więc przeciw światu zastanemu, bohater szukający szansy życia nie w pieniądzu i konformizmie, lecz w sytuacji, które potwierdziłyby pewną moralną słuszność istnienia i bycia, poszukujący uczucia i ludzkiego ciepła, lecz nie ujawniający światu swych marzeń. Taki był Dean w filmie Kazana, taki jest też w filmie Raya. Stał się więc Dean dla młodych Amerykanów lat pięćdziesiątych i chyba nie tylko dla nich wyraził ich osobiste stosunku wobec świata, negacji wartości, obowiązujących w ich społeczeństwie.

Ten bunt młodych przez następne piętnaście lat zmieniał swe formy manifestacji. Nikt dziś nie potrafi, nie

zdobyłby się nawet na to, by tak jednoznacznie i w końcu nieskomplikowanie przedstawił problemy młodych, jak to zrobił Ray w swym „Buntowniku bez powodu”. Ruch hippiesów widzieć i interpretować jednostronnie, nie sposób, o czym świadczą nie tylko filmy im poświęcone („Wolnego, wolnego” Wekslera, „Zabrziskie Point” Antonioniego), ale i najważniejsze interpretacje i oceny socjologiczne.

Konflikty młodych ukazane w filmie Raya mają swe źródło właściwie głównie w tym, że zabrakło im mądrej, pełnej miłości opieki rodziców. Lekarstwem wobec tej diagnozy jest zatem okliwy happy end. Dziś ani takie postawienie problemu, ani jego rozwiązanie nie zadowolą nikogo. Dlatego film ten jest już taki stary. Gdy jednak powstał, znalazł się na liście filmów, których nie wolno było sprze dać krajom obozu socjalistycznego. Ameryka wstydziła się swych „buntowników”, nie dopuszczała faktu istnienia problemu, że młodym, w tym „najlepszym ze światów”, może być źle. W tym starym dziś już filmie pozostał jednak wiecznie młody James Dean, uosabiający to, co zwie się wrażliwością i szlachetnością nie godzącą się z fałszem i złem, wielki aktor, któremu mit nie zaskodził.

★

Radziecki film „TAJEMNICZY MNICH” pozostaje w nurcie tych filmów, które w dziejach Wielkiej Rewolucji poszukują nie tylko wielkich rewolucyjnych tematów, lecz odkry-

wają te jej karty, które przynoszą tematy sensoryjne czy nawet przygodowe. Tkwii w tym nurcie również oglądany niedawno film „Przećwicz Wranglowi”. Udało się nim realizatorom umiejętnie połączyć elementy tragizmu, sensacji, a nawet komizmu w całość, przemawiającą prawdą złożonej rzeczywistości tamtych lat.

To, co udało się twórcom wyżej wspomnianego filmu, nie powiodło się jednak autorom „Tajemniczego mnicha” i to wcale nie dlatego, że ten epizod z roku 1920 nie obfitował w sytuacji tyle samo dramatyczne, co sensoryjne. O niepowodzeniu filmu zdecydowała po prostu nieudolność scenarzysty i reżysera. Z autentycznych wydarzeń, które rozegrały się na Ukrainie w roku 1920, skomponował sensoryjną opowieść, w której pogrzebano szansę na jakąkolwiek próbę zaintrygowania i wciągnięcia widza w przebieg tych, na pewno niezwykłych, wydarzeń. Skomplikowana akcja czekistów, którzy ujawniają i likwidują białogwardyjskich spiskowców, mogła przy dobrej realizacji nie tylko frapować sensoryjnością wydarzeń, tym bardziej pasjonujących, że właśnie autentycznych, lecz całą atmosferą tamtych niezwykłych lat.

Nie można było jednak zrezygnować z pewnych elementów prawdopodobieństwa i z czystości narracji. Nie można też było pozwolić na tak banalny rysunek postaci. Autentyzm tematu i akcji nie gwarantuje jeszcze sukcesu.

EWA NURCZYŃSKA



Teatr Lalek „Miniatura” z Gdańska odbył tournée po Francji, dając osiem przedstawień w Maisons de Culture et des Jeunes, w Amiens i Bourges. Gra no sztukę Natalii Golebowski, „Bo w Mazurze taka dusza”, według Oskara Kolberga i Jerzego Zaborowskiego. Nowy to sukces polskiego ruchu lalkarskiego, który się w Polsce rozwija wspaniale w ostatnim 25-leciu, poprzedzony pionierską (i godną wznowienia), książką Jana Sztudyngera „Marionetki”. Francuskie „Maisons de Culture et des Jeunes”, powstałe z inicjatywy Andre Malraux (gdy był ministrem spraw kulturalnych), odpowiadają naszym Domom Kultury, podczas gdy Maisons de Culture mają inny charakter.

**W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIA VESAASA**

W codziennej naszej prasie przeoczono wiadomość o nagłej śmierci najświetniejszego współczesnego prozaka norweskiego, Torjeia Vesaasa. A przecież nie był on w naszym kraju nie znany: przed kilku laty odwiedził Warszawę, Kraków i Łódź w związku z premierą filmu Leszczyńskiego „Żywot Ma teusza”, osnutego na kanwie jego „Ptaków”. Był wtedy przyjmowany w Związku Literatów Polskich, usiłował przełamać swą małomówność i nieśmiałość.

Paryski „Le Monde”, dając wspomnienie o wielkim pisarzu, wspominał m. in., że był on ogromnie popularny w czterech krajach: we Włoszech, w Polsce, w Węgrzech i w Norwegii. Pismo francuskie dodało, że „Ptaki” dały inspirację światnemu polskiemu filmowi o sławie światowej.

Vesaas urodził się w 1897 roku, miał więc 72 lata umierając. Wyglądał na znacznie mniej. Podziwialiśmy jego twarz jeszcze młodą, piękną, interesującą, uśmiech. Pochodził z chłopstwa Vesaas za czaj pisał w 1923 roku. Wielką sławę przyniosły mu czasy powojenne. Ta śmierć, tak nagła, zasmuciła licznych czytelników Vesaasa. W. N.

**Kto, co, kiedy?** relacje niedyskrecje

**STULECIE NOWOJORSKIEGO METROPOLITAN MUSEUM**

Stulecie istnienia nowojorskiego Metropolitan Museum of Art liczy się od dnia 13 kwietnia 1870 roku choć wówczas nie było jeszcze ani żadnego muzeum, ani kapitałów na jego uruchomienie, ani żadnych zbiorów sztuki. W dniu tym jednak zawiazano się towarzystwo dla zorganizowania muzeum sztuki w Nowym Jorku.



Nowojorskie Metropolitan Museum of Art

Pierwszy zakup dzieł nastąpił w roku 1871 kiedy to nabyto 170 europejskich obrazów. Dziś Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku jest największym na zachodniej półkuli. Za trudnia 750 osób personelu, dysponuje 19 oddziałami zarządzania, posiada budżet w wysokości 12 milionów dolarów rocznie i przed kilku laty mogło sobie pozwolić na zakup płótna Rembrandta za 2,3 miliona dolarów. Liczba osób odwiedzających Muzeum w ciągu roku wynosi ok. 5 milionów.



Kaseta z kości słoniowej. Scena z „Tristana i Izoldy”. Własność British Museum. Z wystawy „Rok 1200”.

Obchody stuletniego istnienia Metropolitan Museum zainaugurowano Jeszcze w październiku ubiegłego roku wystawą, która trwała do 1 lutego br. Wystawa zatytułowana „The Year 1200” (Rok 1200) poświęcona została sztuce i architekturze z lat 1180 do 1220, głównie zabytkom i dziełom sztuki francuskiej. W tym to bowiem czasie na terenie Francji nastąpił bujny rozwój sztuki gotyckiej i zaczęto tam wznosić wielkie wspaniałe budowle, zwłaszcza katedry. Dwie ko-

sztuki egipskiej z muzeum w Kairze. W ramach obchodu stulecia Muzeum odbywają się też odczyty, prelekcje, wycieczki do muzeów innych miast. W przygotowaniu są też dwie książki o historii nowojorskiego Muzeum.

**O LITERATURZE DLA DZIECI**

Książki pisane specjalnie dla dzieci są w naszej cywilizacji zjawiskiem stosunkowo niedawnym. Jeszcze w XVIII stuleciu dziecko traktowano jako miniaturę dorosłego człowieka, nie uwzględniając jego odrębnych zainteresowań i potrzeb. Taki jest punkt wyjścia rozważań Isabelle Jan, autorki książki pt. „Essai sur la litterature enfantine”. (Rozważania o literaturze dziecięcej).

Jeszcze do dziś, oprócz specjalistów i psychologów, wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z odrębności psychiki dziecięcej — twierdzi Isabelle Jan. Książki, jakie daje się dzieciom, a czasem są to książki nawet przez nich lubiane, są właściwie pisane nie dla nich. W ten sposób dziećmi zostają wciągnięci w świat dorosłych. Do takich książek zalicza Jan powieści Jules Verne'a i „Alicję w krainie czarów” Lewisa Carrolla. Tylko nieliczni autorzy, twierdzi Isabelle Jan, piszą specjalnie i wyłącznie dla dziećmi, licząc się z psychiką i wyobraźnią dziecka, inni zadowalają się adaptacją dla dziećmi niektórych znanych arcydzieł literatury jak „Don Kichot”, „Pieśń o Rolandzie” czy „Robinson Crusoe”.

Omawiając literaturę dla dzieci, przede wszystkim zaś francuską, Isabelle Jan dochodzi do wniosku, że pierwszą książką napisaną rzeczywiście dla dziećmi jest w języku francuskim „Contes de ma mere l'Oye” Perraulta. Książka ta znana jest u nas pod tytułem „Bajki babcini”, a niektóre z nich jak „Kopciuszek”, „Śpiąca królewna”, „Czerwony kapturek” i „Kot w butach” cieszą się wśród na-

szych dziećmi niesłabnącym powodzeniem. Warte jest specjalnego podkreślenia, jak zaznacza Jan, że baśnie Perraulta powstały na podstawie niepisanych legend i baśni ludowych.

Druuga połowa osiemnastego wieku zaznaczyła się sporą ilością dydaktycznych opowiadań dla dziećmi, które Jan nazywa „literaturą dla guwernantek” bardziej się bowiem one podobały wychowawczyniom niż samym dziećmi, które zamykają się z owymi książeczkami jedynie z nakazu starszych. Same zaś najbardziej lubiły bajki o wróżkach, czarownicach i tym podobnych cudownościach.

Omawiając stosunki zachodnie zwłaszcza francuskie w dziedzinie wydawnictwa dla dziećmi, Isabelle Jan zwraca uwagę, że wśród dziećmi krąży nieraz niesłychanie wulgarnie opracowana tematyki fantastycznej i baśniowej. Książka kończy się apelem do pisarzy i wydawców o literaturę dla dziećmi na dobrym poziomie artystycznym, o książki pisane z uwzględnieniem psychiki dziecka i jego potrzeby fantastyki.

**SYMBOL MIĘDZYNARODOWEGO ROKU EDUKACJI 1970**

Francuski malarz, pochodzenia węgierskiego Victor Vasarely (o nim i jego wystawie paryskiej pisaliśmy niedawno) zaprojektował dla UNESCO światowy symbol Międzynarodowego Roku Edukacji 1970.



Projekt symbolu

Projekt skomponowany z koncentrycznych pierścieni jest symbolicznym przedstawieniem głowy człowieka oświeconej przez naukę, gdzie wiedza promieniuje z centrum czola. Projekt ten

zostanie przesłany rządom, pocztom i instytucjom wychowawczym na całym świecie w celu traktowania go jako uniwersalnego symbolu Międzynarodowego Roku Edukacji 1970.

**OBRAZ VAN GOGHA ZA 1.300.000 DOLARÓW**

Ostatnio na licytacji dzieł sztuki w Nowym Jorku obraz Van Gogha zatytułowany „Krajobraz z cyprysami” osiągnął za wrotną cenę 1.300.000 do-

larów. Nabywcą był anonimowy kolekcjoner. Van Gogh namalował obraz w roku 1889, przedostatnim swego życia, gdy przebywał w szpitalu w Saint-Paul-de-Mausole, niedaleko Saint-Remy-de-Provence.

Wysokość sumy za jaką sprzedano obraz wywołała powszechne zdziwienie, bo w tym równocześnie na tejże wystawie sprzedano inny obraz Van Gogha za 875 tysięcy dolarów. Jeszcze inny obraz tego słynnego malarza dwa lata temu osiągnął cenę zaledwie 441 tysięcy dolarów.



„Obraz Van Gogha za 1.300.000 dolarów”

**Spektakle tygodnia**

<b>TEATR WIELKI</b>			
„Cyrułk sewilski”	2	2520	100
„Romeo i Julia”	1	1280	100
„Faust”	1	1280	100
„Królewna Śnieżka”	1	1280	100
„Lohengrin”	1	1280	100
<b>NOWY</b>			
„Życie jest smem”	2	1400	100
„Szkoła kobiet”	4	2800	100
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	1	700	100
<b>NOWY Mała Sala</b>			
„Rodeo”	5	1000	100
„Pelikan”	2	400	100
<b>POWSZECHNY</b>			
„Boso ale w ostrogach”	1	650	100
„Henryk V”	1	650	100
„Ojcowie rodzą się w szafach”	2	1100	95
<b>JARACZA</b>			
„Jęgor Buleczow”	5	2370	100
„Każdy kocha Opalę”	1	514	100
<b>7.15</b>			
„Żołnierz Królowej Madagaskaru”	6	2532	100
<b>OPERETKA</b>			
„Pierwioski”	7	6632	81
<b>FILHARMONIA</b>			
koncerty symfoniczne	2	900	65

**NIEDZIELI** Lalka-kolorowy ambasadory Polski **NIEDZIELI**

WYSOKA OCENA „ARLEKINA” — KREDA NA CHODNIKU — WYJAZDY DO ZSRR I USA — 3 MILIONY WIDZÓW — „LEPIEJ NIŻ DLA DOROSŁYCH” — TEATR PRAWDZIWIE POLSKI

Państwowy Teatr Lalek „Arlekin” w Łodzi liczy już sobie 20 lat. Pierwsi widzowie, ci z lat pięćdziesiątych, dobiegają już trzydziestki albo ją przekroczyli i dziś przyprowadzają na spektakle „Arlekina” swoje dzieci. Ale „Arlekin” mimo, iż osiągnął pełnoletność, wciąż uwielbia bajki i bezroskie zabawy, wciąż „bawi się” lalkami — ku uciesze tysięcy młodych widzów w całej Polsce i Europie. Nie nie przesadzami Jan Busel — przewodniczący Międzynarodowej Unii Lalkarskiej (UNIMA) powiedział niedawno, że „Arlekin” oceniany jest na arenie międzynarodowej bardzo wysoko. Ważna i

mobilizująca jest taka ocena wybitnego znawcy, ale... „Dla nas najbardziej wzruszające było to — mówi dyrektor Regina Elkanna — kiedy dzieci w Bochum (NRF), gdzie występowałam niedawno, pisały na chodnikach kredą — „Arlekin — Polen”.

A przecież w bochumskim festiwalu lalkarskim występowały teatry z Jugosławii, Szwajcarii, Niemiec. Ale właśnie „Wesoła maskarada” z prześliczną oprawą scenograficzną Adama Kłiana i muzyką Piotra Marczewskiego w inscenizacji Henryka Ryła zdobyło jednak bezapelacyjnie widownię i tę najmlodsza i tę dorosła. „Arlekin — Polen” wypli-

sywane kredą na chodnikach, to sukces nie tylko artystyczny — to także jakiś dobry element propagandy polskiego teatru. Tych zagranicznych sukcesów było w ciągu 20 lat sporo. Ostatnio pospaly się zaproszenia z całego świata — po festiwalu bochumskim zaproszenie do Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Ale przecież nie wyjazdy zagraniczne są najważniejsze, choć stanowią one w jakiś sposób o randze teatru. W ciągu owych 20 lat przygotowano 73 premiery, w tym 58 prapremier. Prawie 12 tysięcy przedstawień, ponad 3 miliony młodych widzów — to wyraz aprobaty założeń artystycznych i wychowawczych tego teatru dla niepełnoletnich.

W ogólnej liczbie widzów teatralnych w Łodzi „Arlekin” partycypuje ponad dwudziestoma procentami. To nie tylko formalne oddanie zasług „frekwencyjnych”. Jeśli wciąż podkreślamy, że Łódź jest miastem teatralnym — to przecież w końcu w ciągu owych 20 lat niemale

znaczenie ma fakt istnienia placówki wychowującej dziecięcą i młodzieżową widownię, zaszczepiającej „bakcyl teatru”, tworzącej nawyki, przyzwyczajenia i potrzeby odwiedzenia przybytku Melpomeny.

I nie ma w tych stwierdzeniach żadnej okolicznościowej przesady. „Arlekin” nigdy nie był infantylny — zawsze swą służbę najmłodszej widowni pojmował jako służbę ambitną artystycznie. Maksym Gorki powiedział kiedyś, że dla dziećmi trzeba pisać tak jak dla dorosłych tylko... lepiej. „Arlekin” na swym teatralnym podwórku w ten właśnie sposób pojmuje swoje zadania.

A że nie jest to głołosłowne stwierdzenie felietonisty — niech posłuchają się opinie Jana Malka, Sekretarza Generalnego UNIMA: „Arlekin” nigdy nie zabiegał o tytuł teatru awangardowego czy eksperymentalnego, a przecież w większości swych inscenizacji łamał utarte konwencje, odważnie wkroczył na nie przetarte

ścieżki i szlaki i w tych wszystkich zaciętych, czasami aż prawie upartych, a nieraz na pozór prowokacyjnych inscenizacjach, nie zmieniał, ale współtworzył scenariusz, nie przetwarzał, ale systematycznie krystalizował swój profil. W walce o współczesny wyraz nie silił się na kosmopolityczną niwelację, lecz pozostał w tejże nowoczesności — teatrem prawdziwie polskim”.

Sukcesy „Arlekina” na scenach Europy są więc sukcesami polskiego teatru, polskiego folkloru, polskiej muzyki ludowej — tak wyraźnie i dobitnie obecnych w inscenizacjach „Arlekina”. Są to także sukcesy... polityczne. Nie, wcale nie przesadzam!

Oficjalnie urbi et orbi stwierdzono na festiwalu bochumskim, że tylko tam, gdzie mecenasem jest państwo możliwe są takie właśnie teatry i takie imponujące inscenizacje. Bo przecież „Arlekin” musiał być na głowę te wszystkie dwucy trzycybowe teatryki lalkowe Za chodu, przeważnie prywat-

ne, działające często „na wariackich papierach”, bez pomocy i opieki instytucji państwowych. Sukcesy zagraniczne „Arlekina” są więc dobrą propagandą naszego systemu kierowania kulturą, naszych zasad upowszechniania kultury.

Daleko w tych rozważaniach odbiegam od rozemnianej, dziecięcej widowni, od wrażeń estetycznych, odbieranych przez najmłodszych widzów. Wiem, ale tamte sprawy są oczywiste, ich rola zna na i wielkość podkreślaną. Natomiast o sprawach, których wagę zasygnalizowałem powyżej rzadko się mówi przy okazji teatru lalek — a przecież te aspekty są tu równie istotne. Reprezentować — dobrze reprezentować polską kulturę, teatr, system społeczny, państwowy mecenat sztuki — może również dobrze zwykła kolorowa lalka, co awangardowe do konania Grotowskiego. I stąd ów tytuł felietonu, który choć pozornie przewrotny jest po prostu prawdziwy.

JERZY WIDOK



# Kasia Rzeź

Dalszy ciąg z poprz. numeru

Pozostała część drugiego piętra oraz pierwsze piętro były pod ochroną promieni podczerwonych, każde przerwanie linii wywoływało alarm elektrycznych dzwonek. Lecz aby uniknąć alarmu wystarczyło położyć się na brzuchu i pełzną po podłodze poniżej obwodów promieni. I tak się zachowali trzej kaszarze.

W piwnicy budynku znajdowała się kamera telewizyjna, której obiektyw był skierowany na drzwi opancerzonego pomieszczenia kasy. Człowiek, który się pojawił przed kamerą telewizyjną, ukazywał się automatycznie na ekranie biura agencji detektywów, opiekującej się zakładem jubilerskim. Dzień temu urzędniczki stawały się zbyteczni nocni dozorczy.

Leon Schell znalazł sposób na udaremnienie tego systemu. Przyniósł z sobą tkaninę, rozwinął ją na żelaznych ramach i ustawił przed kamerą telewizyjną. Na tkaninie było namalowane wejście do kasy. Larry Coster zneutralizował system alarmowy promieni podczerwonych.

Teraz przyszła kolej na Monka, który był specjalistą w otwieraniu kas pancernych. Zajęło mu to około piętnastu godzin.

Oczyścili kasę bardzo dokładnie, zabrali wszystko: drogie kamienie, naszyjniki, pierścionki, bransoletki, zegarki. Gdy we wtorek rano przybyła policja, stwierdziła, że Larry Coster zostawił odciski palców na drzwiach kasy pancernych, co umożliwiło zidentyfikowanie jednego ze złodziei. O tym jednak prasa nie wiedziała.

We wtorek po południu, pracując w restauracji, oczekiwałem Monka. Zatelefonował do mnie i rozkazał, abym w piątek o godzinie 14-tej był na moście Washingtona obok wejścia do kolejki podziemnej. Policja chciała w czasie tego spotkania aresztować Monka i Larry'ego, lecz sprzeciwili się twierdząc, że nie mamy żadnych dowodów przeciw Monkowi. A także — jeżeli go aresztujemy, Schell ucieknie. Zgodzili się i pozwolili mi kierować akcją.

Monk i Larry przybyli na umówione spotkanie taksówką. Był z nimi jakiś człowiek. Monk podał mi skórzaną torbę, kazał iść za trzecim i nie rozmawiać. Nazywał się Pete, był nieświadomym współnikiem, nie wiedział nic o rabunku. Weszliśmy do kolejki podziemnej. W tym samym wagonie zobaczyłem czwórkę naszych agentów. Gdy wysiadaliśmy w Radio City, dałem im znak, aby zabrali Petego i postraszili Monka i Costera. Gdy się przekonaliśmy, że kaszarze nie ma, wziąłem taksówkę i pojechałem na dworzec centralny. Przez cały czas posuwało się za mną auto policyjne. Policjanci nie wysiedli na stacji i otoczyli mnie, gdy szedłem do naszego biura. Towarzyśta asekuracyjne mają biura na wszystkich głównych liniach kolejowych.

Dziesięć minut po moim przybyciu w biurze zawrzało jak w ulu. Prezes towarzystwa, główni współpracownicy, tuzin detektywów na czele z inspektorem O'Leary, otworzyliśmy torbę, a właściwie uporali się z zamkami sprowadzonymi specjalistą.

W torbie był cały łup. Urzędnicy z okradzionej firmy, po zrobieniu inventarza stwierdzili, że brakowało jedynie kilku zegarków.

Wysłałem jednego z moich ludzi do sklepu sprzedającego sztuczną biżuterię i wypełniłem nią torbę. Na wierzchu położyliśmy kilka skradzionych złotych zegarków. Potem ślusarz zamknął oba zamki. Wziąłem torbę i wyszedłem. Schowałem ją w przechowalni bagaży, kluczyk od kasy włożyłem do kieszeni. Zatelefonowałem do mego biura. Dowiedziałem się, że nastraszeni przez policjantów Monk i Larry rozeszli się i przez godzinę jeździli kolejką podziemną. Potem obaj telefonowali. Zapewne po raz pierwszy się Schellem.

Wróciłem do hotelu, gdzie na stałym spotkaniu z Monkiem i jego niespodziewana śmierć.

Postanowiłem teraz złapać Costera. Zadzwoniłem do biura. Odezwiał się Finch. Opowiedział mi co zaszło.

— Tak, Bill, słyszałem — odpowiedział. — Przed chwilą był

tu kapitan Canova. Jest wściekły, że zostawił zwłoki Monka. Chce, żebyś natychmiast zgłosił się do niego.

— Dobrze, zadzwonię, jak tylko będę mógł. Ale najpierw powiesz coś o Costerze.

— Gdy Monk poszedł do twojego hotelu, Coster pojechał tak sówką do hotelu Residential, gdzie zajmuje apartament 4E. Zapisałem adres. — Słuchaj, Finch, biegń teraz aresztować Costera. Nie mów o tym nikomu. Muszę tam być przed policją, chcę wydobyc od Costera ważną informację.

— O kay, Bill, do zobaczenia!

Na szczęście znalazłem szybko taksówkę. Gdy zatrzymałem się przed hotelem Residential, zauważyłem w okolicy kilku naszych agentów. Podszedłem do Jamesa i wsiałem do jego samochodu.

— Słuchaj, James, będę rozmawiał z Costerem. Jeżeli mi się wydarzy coś złego, stłukę szybę, a ty pedź zaraz na górę z kilkoma policjantami. Rozumiesz?

— Tak, Bill. Powodzenia!

Apartament 4E był na czwartym piętrze. Stanąwszy przed drzwiami nastawiłem mikrofon. Zadzwoniłem dwa razy. Usłyszałem głos: — Kto tam?

— Bill Young — odpowiedziałem. — Przysłał mi Monk Saunders.

Coster wpuścił mnie do środka i zamknął drzwi na klucz. W rękę trzymał rewolwer.

— Gdzie Monk? — zapytał.

— Na dole, w samochodzie. Był u mnie w hotelu, dałem mu torbę. Potem przyjechał tu, nie mógł zaparkować wozu, prosił więc, żebyś się zabrał. Masz zatelefonować do Capo i zapytać, co dalej.

— A dlaczego Monk nie telefonował do mnie do hotelu? Tak się umówiliśmy.

— Bo ja wiem. Idź na dół i zapytaj go.

Coster był zdenerwowany. Spojrzał na mnie podejrzliwie i podniósł wyżej rewolwer, mierząc mi w serce.

— Z wami można zwirować! — krzyknąłem. — Wszyscy grożą mi rewolwerem. Monk oskarżył mnie, że jestem szpiclem.

— Może nim jesteś — mruknął Coster złowrogo.

— Czy przyszedłbyś tu, gdyby tak było? Pracuję z wami solidnie. Męczę się, żeby przynieść wam torbę, uciekam przed policjantami. Wracam do hotelu na spotkanie z Monkiem i zarabiam tylko groźby i rewolwery. Ostatni raz pracuję z wami. Gdyby był szpiclem, na moim miejscu stałaby tu gromada policjantów.

Poszło dobrze, odetchnąłem. Coster schował pistolet do kieszeni. — Przebac mi — rzekł — jestem bardzo zdenerwowany.

— Czy wiesz, co jest w torbie? — Naturalnie, Monk mi pokazał. Są tam kosztowności.

— Czy wiesz, jaką mają wartość?

— Musi to być poważna suma, jeżeli was wprowadziła w takie zdenerwowanie — powiedziałem.

— Jest tak wielka, że trudno uwierzyć. Przeraziłem się, gdy zobaczyłem policjantów przy kolejkę podziemnej. Podejrzewałem cię o zdradę, ale Capo wyjaśnił, że takie głośne włamanie poruszyło całą policję i śledzą każdego, kto wydaje się podejrzany. Musimy szybko oddać się z Nowego Jorku. Jak tylko skończy się ten bal posłamy ci pięć kawałków za kłopoty. A teraz zjedźmy do Monka!

Serce mi zabiło, usiłowałem mówić spokojnie: — Chwilęc-

z ręką zdobyc i czeka na dole przed hotelem Residential. Ze za dwadzieścia minut będzie alarm... Będziesz poszukiwany za zabójstwo człowieka.

Potem wszystko poszło łatwo. Coster wziął marynarkę i zaczął się ubierać. Skierowałem na niego rewolwer.

— Nie potrzebujesz się fatygować, Coster, jesteś aresztowany.

Zbladł. Wyciągnął rękę po broń, lecz powstrzymał się. Twarz jego była maską strachu i nienawiści.

— Twój przyjaciel Monk nie żyje, zabiłem go. Podnieś ręce i obróć się!

Obracał się powoli. Wyjąłem mu rewolwer z kieszeni i wsunąłem do mojej. — Teraz połóż się na ziemi twarzą do podłogi i nie ruszaj się!

Wykonał mój rozkaz. Podszedłem do telefonu i nakręci-

O'Leary jest wściekły, telefonował, że jeśli w ciągu kwadransu nie zobaczy ciebie, ogłosi alarm... Będziesz poszukiwany za zabójstwo człowieka.

— Dobrze, zatelefonuję do niego. — Rozłączyłem się z Finchem. Byłem zmartwiony. Jeżeli wypełnię rozkaz, będę musiał zrezygnować z pochwytnia Leona Schella. Z drugiej strony oskarżenie o zabójstwo zrujnuje mi karierę. Towarzystwu ubezpieczeniowemu nie założył na Schellu... Co robić? Wystarczyłoby mi, żeby O'Leary poczekał cierpliwie jeszcze godzinę.

Zwróciłem się do Costera: — Słuchaj, chcę teraz wiedzieć, gdzie jest Leon Schell. Jeżeli mi pomożesz, ja ci także pomogę w czasie procesu.

— Śmiać mi się chce z Ciebie — warknął. — Jeżeli jesteś taki mądry, szukaj go sobie sam!

W tym momencie do pokoju wszedł James z dwoma policjantami.

— To jest Coster — wyjaśniłem. — Załóż mu kajdanki. Nie wolno mu z nikim rozmawiać, niech się nie zbliża do telefonu. A teraz daj mi klucz od samochodu.

Wyłączyłem mikrofon. Na ułci zatrzymałem się przed apteką i zadzwoniłem do biura numerów, aby mi podali adres telefonu 24587. Numer był zapisany na nazwisko kobiety — Sandy Le Coeur, Sutton Place 21, mieszkania 7.

Został mi jeszcze inspektor O'Leary, połączyłem się z centralą. Posypały się ironiczne słowa: — Nie już pana nie ura tuje, zrozumiałe! — złościł się O'Leary. — Nie powinien był pan oddać się do pokoju, w którym leżał Monk! Jeżeli natychmiast pan tu nie przyjdzie aresztujemy pana! Wspomniałem o Costerze. — Muszę jeszcze zatrzymać Schella zanim dowie się o śmierci Monka.

— Nie złapie go pan. Wyślę setkę policjantów i na pewno go znajda.

— Inspektorze, nawet jeżeli pan aresztuje Schella, na nic to się nie przyda. Nie mamy dowodów przeciw niemu. Weźmie zdolnego adwokata, który wyciągnie go już w śledztwie. Muszę zdobyć dowody, niech mi pan pozwoli działać, błagam! Potrzebna mi tylko jedna godzina!

— Nie zgadzam się, popełnił pan zbrodnię i musi pan złożyć oświadczenie dla prokuratora okręgowego. Tego nie można zatwierać telefonicznie! Jeżeli pan nie postucha, zniszczę pana!

Dokończenie nastąpi



Fot. W. Parys

ke, Monk chce, żebyś zatelefonował do Capo.

Wszystko teraz zależało od telefonu. Ale Coster nie powinien zauważyć, jak mi na tym zależy. Wstałem, kierując się ku wyjściu.

— Ach prawda, zapomniałem. — Bill, poczekał!

Coster zaczął nakręcać numer. Wstrzymałem oddech.

2-4-5-8-7... Widząc ostatnie cyfry chciałem wyć z radości. Już wiem, gdzie znajduje Schell!

Coster zreferował Schellowi, że Monk mnie znalazł, że ma

lem numer biura. Przy aparacie znów był Finch.

— Mówi Bill Young. Aresztowałem Costera. Na dole w samochodzie jest James, ma radio. Powiedz mu, żeby natychmiast przyszedł na górę. Potem odczekaj pięć minut i zawiadom centralę policyjną, że James trzyma Costera i że mogą aresztować go tu oficjalnie. Ja muszę iść, mam coś ważnego do załatwienia.

— Bill, zaczekaj chwilę! — krzyknął Finch. — Inspektor



## Lewym okiem

SUBTELNOŚCI JĘZYKOWE

Cały świat przeżywa okres niesłychanie ożywionej działalności dyplomatycznej. Przedstawiciele wszystkich narodów świata podróżują nieustannie, szukają kontaktów, wymieniają wizyty. Konferencja za konferencją, rozmowa za rozmową, noty leżą za notami. Wiemy dobrze, jak wiele zależy od przebiegu takich rozmów. Śledzimy z napięciem niektóre z nich; z rezerwą, płynącą z jakiegoś trudnych doświadczeń, i z nadzieją, bez której żadne ludzkie działanie nie miałoby sensu. Uczymy się czytać i rozumieć przedziwny, pełen cieniutkich niuansów język dyplomatycznych komunikatów, język, który czasem ma być środkiem informacji, a czasem — kamuflażem.

Trudna to i odpowiedzialna gra o najwyższe stawki. Towarzyszą jej zrozumiałe emocje setek milionów ludzi. A przecież dyplomaci to także ludzie, a ich zawód nierzadko bywał przedmiotem anegdot i prześmiewców. Spójrzmy więc sobie i my lewym okiem, niepoważnie, na poważne sprawy.

W lutym 1712 roku, w londyńskim piśmie „The Spectator”, sławny ówczesny polemista i dziennikarz, Joseph Addison, ogłosił żartobliwy felieton o rzekomym zamiarze utworzenia we Francji akademii politycznej mającej kształcić dyplomatów. Jakich przedmiotów będą uczyć w takiej szkole? No, na przykład — zdaniem Addisona — „jak kiwać głową z powagą, w wątpliwych wypadkach wznosić ramionami, dawać znaki oczyma”. Bardzo ważne będzie zdobycie umiejętności specyficznego prowadzenia konwersacji: „...kiedy jeden zapyta drugiego, która jest godzina, zapytany powinien odpowiedzieć tylko pośrednio bądź też, jeśli to możliwe, skierować rozmowę na inne tory. Kiedy ktoś zwróci się do studenta szkoły politycznej by mu rozmienił ludora, ten powinien prosić o czas do namysłu. Na pytanie czy król przebywa obecnie w Wer-salu czy w Marley, winien on odpowiedzieć szeptem. Jeśli zaś kto zapyta o nowiny z ostatniej gazet albo o przedmiot ostatniej proklamacji królewskiej, ma on odrzec, że jeszcze ich nie przeczytał — albo też — jeśli nie chce się aż tak daleko posunąć ograniczyć się do ściągnięcia brwi i wzruszenia ramionami”.

„Zaden ze studentów nie może posłać drugiemu ani jednego bileciku choćby chodziło tylko o wypożyczenie Tacyta — który by nie był pisanym sztyrem”.

Profesor ma nauczyć studentów „jak odróżnić ducha od litery i jak ta sama forma i te same słowa nakładają na każdego księcia europejskiego zupełnie inne zobowiązanie. Musi ich kształcić w sztuce znajdowania nawet w najświętszych traktatach furtek, kryjówek i wybiegów — zwłaszcza

cza zaś musi on ich wtajemniczyć w pewien sekret, mianowicie: jak dwie wzajemnie przeczące sobie interpretacje tego samego paragrafu mogą być w jednakim stopniu słuszne i ważne”.

Skoro żarty Addisona sprzed dwóch i pół stuleci bawią nas jeszcze dziś, to widać ich przedmiot nie stracił całkiem na aktualności. A jeszcze dziennikarz angielski kończył tak: „Żywiłbym tylko niejakie obawy, że te same umiejętności, które miałyby studenta uczynić zdolnym do pośredniczenia między dwoma wielmożami, mogłyby mu tylko zaszkodzić jako człowiekowi w obcowaniu z ludźmi. Nie ulega wątpliwości, że ci młodzi makiawelowie w krótkim czasie wywrócą w swym kolegium wszystko do góry nogami i takie same subtelne kuć będą plany, by się oszukać i zająć o porcję sataty, jakie później przyjdzie im obmyślać, kiedy trzeba będzie przechytrzyć jakiegoś księcia czy sąsiadnie państwo”.

Rzeczywiście — w zwyczajnych kontaktach międzyludzkich nie potrzeba na ogół fachowych pośredników. Maż albo się dogada z żoną, albo wzruszy ramionami i pójdzie na płynny owoc. Nadmiar dyplomatycznych podtekstów uniemożliwia jakiegokolwiek porozumienie między dwój-giem ludzi. W wielkiej skali wygląda to inaczej: „Nie bez optymizmu możemy stwierdzić, że obie strony uznały za możliwe podjąć ponowną próbę rozmów w odpowiednim czasie”. Skoro powiedziano w czasie „odpowiednim”, a nie „nie dającym się przewidzieć” — to znaczy że do brze. A w gruncie rzeczy nic nie znaczy.

CWIEK